Nr. 5. 3. Kwietnia 1860.

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. $2^1/_2$ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. $4^1/_2$ zł., kwart. $2^1/_4$ zł., miesięczn. 75 ct. w. a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. $157^1/_4$.

ZŁOTA GÓRA.

Opowiadanie przy kominku.

(Ciąg dalszy.)

Testament.

W szarej komnacie już pryskał ogień na kominku. Jakaś milsza i cieplejsza owionęła nas atmosfera. Usiedliśmy wszyscy rzędem, pan Jędrzej i Krzysztof zajęli miejsce najbliżej ogniska. Siedziałem obok gospodarza naprzeciw pana Krzysztofa. Mógłem więc dobrze w niego patrzeć gdy opowiadał. Czasami tylko przeszkadzał mi konterfekt w czarnych ramach, który tuż nad głową pana Krzysztofa wisiał i mimowolnie moje oczy do siebie przyciągał.

Zaraz z góry zaczął pan Krzysztof:

— Widzę po twarzach obecnych, że śmiało mówić mogę o ostatniej woli mego ojca. Wszyscy jesteśmy sobie krewni, bo i pan Marcin, jak słyszałem, należy już sercem do rodziny.

Nato spłonęła panna Anastazya jak alkiermesz, a pan Marcin zerwał się z krzesła i koleją ucałował rękę panu Jędrzejowi i jego małżonce, a potem cioci Anastazyi i panu Krzysztofowi, chociaż ostatni mocno się zbraniał. Pan Jędrzej uśmiechnął się z zadowoleniem i rzekł:

— Panu Marcinowi jeszcze przed obiadem dałem naszą odpowiedź, lecz markotno mi przytem było, dowiedziawszy się, że już ktoś przed nami łaskawie mu odpowiedział.

Panna Anastazya zapłoniła się, i aby jakoś wyjść z zakłopotania, wstała i rodzicom rękę ucałowała. Biedaczka, tak się zmieszała tą przymówką ojca, że napowrót drogi do swego krzesła znaleźć nie mogła. Snać pochlebiało to konkurentowi, bo oczu od niej oderwać nie mógł. I mnie też śliczną wydała się panna Anastazya w tej chwili. Ładna będzie z nich para, pomyślałem sobie, będzie i szczęśliwa, jeźli ją łączy miłość prawdziwa.

Gdy się już wszyscy uspokoili, i panna Anastazya za pomocą cioci napowrót na swojem krześle usiadła, ozwał się ksiądz Ignacy:

— Jakkolwiek każdy kapłan umie szanować tajemnice rodziny, jednak —

— Proszę nam nie ubliżać księże Ignacy, przerwał pan Jędrzej, wszak bez ciebie nic ważnego nie stało się w domu moim.

I pan Krzysztof kiwnął nato głową, jakoby zgadzał się z tem, co pan Jędrzej powiedział, ale ukośne jego spojrzenie coś niedobrego wróżyło szanownemu kapłanowi.

— A więc gdy niema nikogo z obcych między nami, począł pan Krzysztof, to zaczynam moje opowiadanie, które wam ciekawe odsłoni rzeczy.

Zrobiwszy tutaj małą pauzę, tak mówił dalej:

— Muszę się cofnąć w najmłodsze lata moje i zacząć od tego samego kominka, przy którym właśnie siedzimy. Matka odumarła mnie gdy byłem dziecięciem, nie pamiętam jej. Karmiono mnie i hodowano jak szczenie i widać że to wystarczało memu ciału, bo za kilka lat wyrosłem sporo i zdrowo. Lata moje najmłodsze przepędzałem na igraszkach z psami — ojca rzadko widywałem. Tylko w wilią świętego Floryana lubił on siadywać przy tym kominku i wtedy tylko obok ulubionego jego wyżła mogłem mu siedzieć na kolanach.

Pan Krzysztof zamilkł na chwilę i spojrzał zamyślony w pryskający ogień. Przelotne jakieś uczucie przemknęło po jego twarzy. Po chwili zaczął znowu:

— Mój ojciec rzadko był w domu. Po całych dniach krzątał się koło gospodarstwa, stał przy robocie, a czasami znowu zdawszy wszystko na ekonomów, odjechał gdzieś bez wieści i kilka tygodni w domu nie był. Gdy wrócił, był rozdrażniony, krzyczał i hałasował i wszystkich o niewierność posądzał. To też wielkie było zmartwienie we dworze, gdy kazał do skarbniczka zaprzęgać. Wszyscy wiedzieli, że za powrotem nastąpi wielka burza.

Zdawało mi się, że konterfekt w czarnych ramach uśmiechnął się przy tych słowach. Odwróciłem od niego oczy i słuchałem dalej:

— Miałem już ośm lat, ciągnął dalej pan Krzysztof i ciekawie słuchałem domowników, jeźli coś sobie opowiadali. A jednak rozmowy ich były wtedy dla mnie niezrozumiałe, dopiero później wyświeciło mi się wiele rzeczy. Stary Fedor, poufny kozak mego ojca i towarzysz wszystkich jego wycieczek, opowiedział mi razu jednego, że mój ojciec jeździ w góry karpackie do jakiegoś szlachcica, którego wieś zwie się „Złota góra“.

Nasza ciekawość rosła coraz bardziej. Pan Krzysztof uśmiechnął się i prawił dalej:

— Wiadomo wam, że w naszym rodzie są Sicińscy. Głupi gmin przywiązuje coś do tego imienia, co właśnie sprzeciwia się naszym szkolnym pojęciom

o dobroci i sprawiedliwości Boga, nie prawdaż księże Ignacy?

— Rozum nasz nie sięga za próg wyroków Boskich, odparł ksiądz Ignacy.

— Wiem, wiem co dalej powiesz, przerwał mu żartobliwym tonem pan Krzysztof, wiem, że powołasz się na Mojżesza a nawet zapukasz do ojców kościoła, ale to wszystko nie należy do rzeczy. Czy Siciński, nasz praojciec, tak wiele zawinił, że na stole karczemnym ową historyczną napisał cedułkę, która szlachcie wspólnie działać nie dała, dlaczego opinia kilku wieków stawia go na pręgierz dla pokajania tych wszystkich, którzy chcą mieć własne, niezawisłe zdanie, dlaczego wreszcie utrzymują, że rozum zbiorowy jest wyższym nad rozum pojedyńczego człowieka — tego nigdy zrozumieć nie mogłem, chociaż nieraz w życiu te pytania sobie zadawałem.

Pan Krzysztof spoczął tutaj, i z wyrazem pewnego pietyzmu spojrzał na konterfekt swego przodka, który wisiał nad jego głową. Pan Jędrzej westchnął żałośnie. Zdawało mi się, że słyszałem w tem westchnieniu słowa: krew Sicińskiego! — Wyprzedził nas wszystkich pan Makary, bo zapyrzywszy się, zawołał:

— Jakto panie Krzysztofie, toż Siciński nie był złym człowiekiem? Prawda przed afektem! I w nas jest krew Sicińskich, mimo to nie trzeba rzeczy w bawełnę obwijać. Co historya napiętnuje, to już takiem zostanie. Siciński przeszedł w myt narodowy, i oznacza największego naszego nieprzyjaciela. Potomkowie Sicińskiego mogą być najcnotliwsi, ale duch jego wlazł w organizm narodu i rozszarpuje go na stronnictwa. Ten i ów ma w ustach dobro powszechne, stawia się na straży najwyższych interesów naszych, spycha ztamtąd innych, obrzuciwszy ich błotem potwarzy: ale gdy do jego duszy zajrzemy, obaczymy tam błoto najobrzydliwsze. Bo niech tylko inni przyjdą i obok niego wspólnie i szczerze dla dobra powszechnego pracować zapragną, to ich kopnie nogą i błotem obrzuci. Dla czego? Bo się trzeba z nimi podzielić zasługą, a ten i ów chce ją mieć sam dla siebie, lub co jest najobrzydliwsza, z najświętszych obowiązków chce ciągnąć dla siebie korzyści. W tem to celu napisałem książkę, w której okażę, jak wielu dzisiaj mamy Sicińskich, którzy dla osobistej korzyści, częstokroć dla lichego grosza, rozrywają węzły zgody i jedności, bez której nigdy nic się nie osiągnie!

Skończył Makary i otarł pot z czoła. Mówił gorąco i z niezłą swadą. To też nawet zdawało się, że nas rozgrzał, i że wszyscy wtórowaliśmy w duchu temu, co mówił. Pan Jędrzej wielce był ucieszony wymową syna, tylko pan Krzysztof słuchał jego perory z szyderczym uśmiechem, a nawet z czegoś wewnętrznie się radował.

— Ładne kazanie powiedziałeś kochany Makary, ozwał się pan Krzysztof, i trafny jest twój sąd o Sicińskich. Nie po tem imieniu trzeba ich szukać między nami. Jesteśmy nimi wszyscy, jeźli serca nasze owładnie korzyść osobista.

Wymówiwszy te słowa, takie szyderskie i złośliwe spojrzenie rzucił na pana Makarego, jakby go chciał wskróś przebić. Makary wcale tego nie widział. Rozkoszował on w duchu nad udatną perorą swoją, którą był właśnie wyrecytował. Niemiło było nam wszystkim że rozmowa zeszła na przedmiot, dla pana Krzysztofa tak drażliwy. Nie nasza w tem wina, sam ją z drogi sprowadził.

— Wróćmy do rzeczy panie Krzysztofie, ozwał się pan Jędrzej, chcąc mu dopomódz, a Sicińskim dajmy pokój, na który już dawno sobie zasłużyli.

— Tak jest, dajmy im pokój, poderwał pan Krzysztof, chociaż głupi gmin wiecznie z grobu ich wywleka.... A więc czy słusznie czy niesłusznie to się dzieje, że o Sicińskich zawsze coś mówić muszą, a może też i ja dlatego czterdzieści lat procesowałem pana Jędrzeja, że gdzieś tam mam kroplę krwi Sicińskich.... dosyć, że ja się poprawiam, a pragnę, aby przy danej sposobności nie popsuli się ci, którzy dzisiaj mają w uściech złote słowa prawdy.... Koniec końców, ludzie muszą kogoś obgadywać, a więc obgadują z pokolenia w pokolenie tego, którego już przed nimi obgadywano. I tak tradycya o Sicińskich ciągnie się z dalekiej przeszłości jak ogon komety i dochodzi aż w nasze czasy. Otóż dla tego, że mój ojciec był z rodu Sicińskich różnie mówili o nim ludzie. Mianowicie jego odosobnienie od świata i częste gdzieś wycieczki, z których powracał w jak najgorszym humorze, tłumaczono sobie w różny sposób. Jedni mówili, że każdy Siciński pokutować musi za swawolę posła Upitskiego, czy raczej, że ś. p. poseł Upitski w ciele potomków swoich przez dziesięć wieków pokutować musi i bić się przez wszelkie szeregi życia ludzkiego. Drudzy byli tego zdania, że mój ojciec dyabłu się zaprzedał i od czasu do czasu jedzie do niego w służbę, wyjąwszy dzień świętego Floryana, w którym święty patron czuwa nad nim i od wszego złego go broni.

Z niemałem zadziwieniem spojrzeliśmy wszyscy po sobie, bo to był właśnie dzień świętego Floryana. Pan Krzysztof uśmiechnął się jak człowiek, który dzieciom jakąś ciekawą opowiada bajkę i tak mówił dalej:

— Takie to i tem podobne androny pletli sobie ludzie o moim ojcu. I ja, choć byłem małym jeszcze, zasłyszałem coś z tego. Mózg dziecka jest miękki i wrażliwy, otóż wszystko to odciskało się tam i rosło w domysły najdziwaczniejsze. A gdy mi Fedor o „Złotej górze“ i jakimś dziwnym szlachcicu opowiadał, zapalała się moja wyobraźnia coraz więcej tak, że już w nocy i we dnie spoczynku nie miałem. Otóż najgoretszym pragnieniom moim stało się wkrótce zadość.

Pan Krzysztof spoczął tutaj i powiódł okiem po całem zgromadzeniu. Ucieszyła go naprężona ciekawość nasza, i ozwał się znowu w ten sposób:

— Byłato właśnie wilia świętego Floryana. Ojciec mój wyjechał był przed tygodniem, a nikt nie wiedział gdzie i dokąd. Na świętego Floryana był jednak zawsze w domu. Tym razem musiało go coś

zaskoczyć. Nadszedł już wieczór, stara Małgorzata zapaliła na kominku w szarej komnacie, siadła na ławie i wraz ze mną czekała przybycia ojca.

— A ojciec nie przyszedł! zawołał pan Kajetan, a oczy mało mu nie wyskoczyły z ciekawości.

Pan Krzysztof uśmiechnął się i prawił dalej nie zważając na zapytanie poczciwego Kajetana:

— Wieczór był burzliwy, taki sam jak wczoraj. Po niebie toczyły się czarne, ogniem ziejące chmury, wicher wywracał odwieczne lipy i kasztany i z łoskotem łamał ich gałęzie, sztuki muru odlatywały z komina i z hukiem grzmotu sunęły się po dachu. Stara Małgorzata żegnała się nieustannie i modliła, a ja stanałem przy oknie i z jakąś niewysłowioną rozkoszą przysłuchiwałem się tym wspaniałym dysonansom przyrody, patrzałem na ten ognisty, piekielny koloryt nieba i ziemi.

Zdawało mi się, że pan Krzysztof przy tych słowach trochę się zamyślił, a nawet jakieś smętniejsze uczucie wybiło się gdzieś z głębi duszy na jego twarz zimno uśmiechniętą. Ale wnet podjął znowu wątek opowiadania:

— Ojcowie nasi wierzyli w duchy pokutujące na ziemi. Godzina dwunasta o północy była zwykłą godziną, w której z wiecznego odpoczynku budziły się duchy i szły do swojej pokuty. Modlitwa żyjących o wieczny dla nich pokój, skracała im czas pokuty. Otóż aby o tej godzinie jakiś głos wzniósł się do nieba i o pokój duhów prosił, poradzili sobie zamożni nasi przodkowie tem, że nad kominkiem stawiali zegar grający, który w dzień wycinał kuranty, a o północy dla duchów pokutujących żałośnym dźwiękiem nócił *requiem æternam.*

Szyderczy uśmiech przebiegł po twarzy opowiadającego. Zdawało mi się, że dusza tego człowieka przesunęła się jak gąsienica przez dawny piękny obyczaj przodków naszych, i ośliniła je brzydkim, cuchnącym jadem.

— Nie wiem jakim sposobem to się stało, mówił dalej pan Krzysztof, stary zegar nad kominkiem począł przy odgłosie piorunu swoje ulubione *requiem æternam* wygrywać, chociaż wskazywał dopiero godzinę dziesiątą. Małgorzata przeżegnała się głośno i krzyknęła: „wszelki duch chwali pana Boga“, i mnie zrobiło się także markotno, bo tej smutnej, grobowej melodyi wcale nie lubiłem. W połowie melodyi, śród największej burzy zaturkotał wózek przed gankiem, a do izby wszedł mój ojciec.

— Spodziewałem się że przyjedzie! krzyknął pan Kajetan i klasnął w dłonie.

— Wszedł mój ojciec, ciągnął dalej pan Krzysztof, zmoczony do nitki i cały trzęsący się z zimna. Twarz miał czerwoną jakby we wielkiej był emocyi. Uradowałem się jego przybyciem i czem prędzej poskoczyłem do kominka, aby krzesło mu przystawić, gdy nagle i krótko do mnie się ozwał: „Pojedziesz ze mną Krzysiu!“ A do Małgorzaty rzekł: „Daj mu moją delią, bo tam straszna burza“. Małgorzata na to nic nie odpowiedziała. Była kontenta, że na tem tylko się skończyło. Zanim z zadziwienia do siebie przyjść mogłem, siedziałem już w skarbniczku u nóg ojca, po sam nos owinięty w delią. Pamiętam tylko, że nim konie ruszyły, zaleciała mi jeszcze do uszu ostatnia nuta nieznośnej melodyi: *requiem æternam,* i tak długo brzmiała mi po głowie, póki skarbniczek nasz nie zatrzymał się przed lichym gankiem górskiego dworku. Byliśmy w Złotej górze.

Sylwan przyłożył rękę ozdobioną błyskotnemi pierścieniami do ust i mam słuszne podejrzenie, że ziewnął. Makary patrzał przed siebie i uśmiechał się jak autor przyszłych trzech tomów, tylko poczciwy Kajetan wytrzeszczył wypukłe oczy swoje w nadzwyczajnej ciekawości.

— Byłoto już nad ranem, mówił po chwili pan Krzysztof, ale chmury okrywały zewsząd niebo i sprawiały ciemność. Mój ojciec wydobył mnie z delii, wziął za rękę i otworzył drzwi do pierwszej izby. W tej izbie widziałem mnóstwo starego rupiecia. Przez drugą izbę przeprowadził mnie ojciec szybko, nie dając mi czasu rozglądać się. Mimo to nie zapomnę nigdy tego widoku. W kącie obszernej a prawie pustej komnaty leżał na łóżku jakiś staruszek o żółtej, wyschłej twarzy a strasznie iskrzących oczach. Przy nim świeciła się lampa a nad nim wisiało kilka szabel i duża flinta. Wyglądał jak człowiek konający, a jednak nikogo nie było przy łóżku. Czarny, kudłaty pies leżał pod oknem i wyrczał na nas. Mój ojciec odwrócił mnie szybko od tego widoku i pchnął do alkierza, zamknąwszy drzwi za mną. Przyzwyczajony do samotności od dziecka, nie przestraszyłem się bynajmniej, widząc się w małym na pół ciemnym pokoiku. Na dworze zaledwie robiło się szaro. Chciałem się właśnie po izdebce rozglądać, gdy przez drzwi usłyszałem głos chorego szlachcica:

— Sprawa! zawołał.

— W ziemi, odpowiedział mój ojciec.

— A śrebrniki?

— W ziemi.

— A powróz?

— W ziemi, odpowiedział znowu mój ojciec.

Chory zapłakał rzewnym płaczem, a gdy się po chwili uspokoił, zaczął mój ojciec do niego cichym głosem mówić, czego już zrozumieć nie mogłem. Natrafiwszy na łóżko, usiadłem na niem, bo byłem nocną podróżą mocno zmęczony. Wkrótce sen skleił młode powieki moje, a we śnie widziałem konającego szlachcica i słyszałem melodyę: *requiem æternam.*

Pan Kajetan potarł po czuprynie na znak, że opowiadanie pana Krzysztofa mocno go bawi, a zerknąwszy z ukosa na pannę Klarę, wlepił znowu w twarz opowiadającego siwe wypukłe oczy swoje. Po krótkiej przerwie mówił znowu pan Krzysztof:

— Mimo tak strasznych snów musiałem jednak spać długo i smacznie, bo już było sporo po południu, kiedy mnie ojciec obudził. Przyniósł mi kawał mięsa i mleka ciepłego garnuszek, i nakazał mi, abym się cicho sprawował. Podjadłszy sobie, zasnąłem znowu i

byłbym może spał do rana, gdyby mnie nie był zbudził jakiś stuk w izbie chorego. Porwałem się na nogi i zacząłem pod drzwiami podsłuchiwać. Słyszałem znowu głos chorego: „Sprawa“! — „W ziemi“, odpowiedział mój ojciec. Dalej już dobrze dosłyszeć nie mogłem co mówili, ale z trzeszczenia łóżka wnosiłem, że chory wstać usiłował, do czego mój ojciec zdawał się mu pomagać. Wreszcie słyszałem stękania i westchnienia, jak kiedy ktoś jaki ciężar bierze na plecy — słyszałem jak otworzono drzwi izdebki na oścież.... a za niejaki czas widziałem mego ojca, niosącego popod moje okno na plecach swoich chorego.

Pan Krzysztof odpoczął tutaj i spojrzał po nad głowę na konterfekt w czarnych ramach.

— To było okropnie! zawołały kobiety i wzdrygnęły się.

— Może być, że to był widok okropny, mówił dalej pan Krzysztof, mnie jednak nie wydawał on się takim. Księżyc świecił jasno i widziałem wyraźnie jak głowa chorego zwiesiła się bezwładnie na ramieniu ojca, który w jednej ręce niósł jakieś narzędzie do kopania. Zebrała mnie ciekawość, co to z tego będzie i milczkiem wymknąłem się przez otwarte drzwi do ogrodu.

— Ah, ah! zawołały kobiety i przysunęły się bliżej do kominka.

Pan Jędrzej milczał przez cały czas. Zdawało się że z niewielką ciekawością słuchał tej historyi.

— Księżyc świecił jasno, opowiadał dalej pan Krzysztof, ale w ogrodzie było wiele cienia. Przy płocie z trzech stron stały gęstym rzędem topole, a w samym środku był mały pagórek otoczony do koła staremi lipami. Podanie niesie, że na tym pagórku, widocznie ręką ludzką usypanym, miały się niegdyś odbywać ceremonie pogańskie. I w samej rzeczy, dziwna symetryczność tych starych drzew i różnych wklęsnień w ziemi, wskazują na jakieś dawne obrzędy, które się na tem miejscu odbywały. Otóż ku temu wzgórkowi udał się mój ojciec z chorym szlachcicem. Szedłem za nim w oddaleniu, trzymając się cienia topoli. Pod pierwszą lipą, która stała tuż pod wzgórkiem, zatrzymał się mój ojciec. Chory jęknął, jakby uczuł ból jaki i zawołał:

— Sprawa?

— W ziemi, odpowiedział mój ojciec.

— Śrebrniki?

— W ziemi.

— Powróz?

— W ziemi, była znowu odpowiedź mego ojca.

Tutaj zsunął się chory z ramion ojca i powalił na ziemię. Wił się jakby w kurczach i jęczał. Ojciec mój coś mówił do niego, ale już dosłyszeć nie mogłem, bo wiatr szeleścił w topolach. Po niejakim czasie przykląkł ojciec, wziął znowu chorego na plecy i poniósł pod drugą lipę. Znowu te same dziwaczne zapytania i te same odpowiedzi mego ojca. I tak trwało to póki kur poraz pierwszy nie zapiał. Wtedy ucichły te zapytania, słychać tylko było że ktoś ziemię kopie. Za kilka chwil zaczęła się między nimi jakaś żywsza urywana rozmowa, która szybko przechodziła w kłótnię. Nikogo się na świecie tak nie lękałem jak ojca, gdy był rozgniewany. Czem prędzej więc wróciłem do izdebki i położyłem się do łóżka. W nocy miałem sny okropne, a gdym oczy otworzył stał mój ojciec nademną z lampą w ręku, wpatrywał się w twarz moją mówiąc jakby do własnych myśli swoich: Niezgoda pozbawiła nas wszelkiej nadziei, on już nie żyje!... Ale wnet niby oprzytomniał i rzekł do mnie: Wstań, pojedziemy. Zerwałem się z łóżka, a nim jeszcze oczy przetrzeć zdołałem, zarzucił mi ojciec delię na głowę i szybko wyprowadził mnie z izdebki. Idąc przez dużą komnatę ujrzałem człowieka leżącego na długim stole. Był wyprężony jak struna a twarz miał siną jak bez. W nogach stała lampa, pod stołem leżał czarny kudłaty pies, a koło drzwi siedział dziadek kościelny i szeptał pacierz. Za chwilę siedziałem znowu w skarbniczku u nóg ojca, zawinięty po sam nos w delię, ale tym razem już usnąć nie mogłem. Przez kilka tygodni już mnie nic nie bawiło. Ów człowiek leżący na długim stole, lampa, pies i dziad kościelny, stały mi ciągle przed oczyma. Mój ojciec od tego czasu bardzo rzadko w domu przesiadywał. Po całych nocach chodził to po ogrodzie, to po lesie, i często sam coś mawiał do siebie. Co trzeci dzień wyjeżdżał nocą a za kilka dni wracał znowu nocą do domu w jakiemś dziwnem rozdraźnieniu. Gospodarstwa już nie doglądał, wyżła kazał zastrzelić, bo wszędzie za nim się czołgał, i wtedyto sprzedał Boleszczyce.

Niejaki czas milczał pan Krzysztof. Przezwyciężywszy jakieś odzywające się w nim uczucie, zaczął znowu:

— Mnie wywiózł do miasta i oddał w opiekę dawnemu swemu znajomemu, zapłaciwszy mu z góry za lat dziesięć. Potem gdzieś wyjechał, mówiono, że dostał pomieszania zmysłów, i wkrótce doszła mnie wiadomość, że nagle umarł. Różnie mówili ludzie o jego śmierci. Wiecie o tych wszystkich niedorzecznych baśniach, które dotąd krążą po świecie. Nie będę ich powtarzał.

Milczenie powszechne było oznaką, że opowiadacz trącił o przedmiot nader drażliwy. Po chwili mówił dalej:

— Powiedziano mi, że ojciec umarł bez testamentu. Zostały jednak znaczne kapitały ulokowane u ludzi poczciwych, które sąd wziął w opiekę. Wiadome wam dalsze życie moje. Żyłem, ot jak można było żyć z ludźmi. Dopóki życie miało dla mnie nowość i powab, póty nie myślałem wcale o przeszłości. Ale najadłszy się do sytu wszystkiego tego, co nam życie dać może, wróciłem do wspomnień mojej młodości — do owej nocy w Złotej górze. I dziwnym trafem dowiedziałem się, że właśnie jest do nabycia ten majątek, bo liczni spadkobiercy procesując się o niego lat trzydzieści, zgodzili się wreszcie na sprzedaż z ręki sądu. Odświeżyły się w mojej pamięci wszelkie wypadki owej nocy pamiętnej, a za kilka tygodni byłem już

panem i dziedzicem Złotej góry i posiadaczem owego tajemniczego wzgórza, otoczonego staremi lipami.

Pan Krzysztof odetchnął i dalej rzecz prowadził:

— Przyszło mi na myśl, że tam musi być jakiś skarb zakopany. Myśląc o tem dniem i nocą, uczułem w sobie żądzę skarbów, a żądza ta rosła w mojem sercu z każdem jego tętnem i wkrótce wszystko inne zagłuszyła. Odtąd nie było dla mnie nic drogiego nic świętego — wszystko stopiło się w złotego cielca, który był moim bogiem! Z rozrzutnego stałem się skąpym, łaknącym cudzego, szukałem procesów *per fas i nefas.*

— W kilku słowach waszych panie Krzysztofie mieści się wielka prawda, poderwał ksiądz Ignacy, każda zła myśl jest jak ołów, która gdy w serce padnie, już jej nie wyrzucić!

— Poszukiwania moje w pocie czoła z rydlem w ręku były daremne, mówił dalej pan Krzysztof. Zacząłem owych skarbów szukać inną drogą. Zbierałem baśnie ludu okolicznego w nadziei, że one okażą mi drogę do bogactw ukrytych. I dziwnych dowiedziałem się rzeczy o moim antecesorze.

Po niejakiej pauzie mówił pan Krzysztof dalej:

— Najprzód powiedziano mi, że nieboszczyk nie umarł śmiercią naturalną, ale pewnej nocy obwiesił się w ogrodzie na lipie. Miał to być dziwak, jakich mało. Do późnej starości żył sam jeden, nikomu się nie zwierzał, ludzi unikał, tylko jakiś przyjaciel przyjeżdżał do niego co kilka tygodni i z nim sam na sam po długich nocach siedział. Nie byłto nikt inny, tylko mój ojciec. Opowiadano mi dalej, że ów pan Szymon (tak nazywano mego antecesora) wyprawiał nie raz rzeczy, jakby nie był przy zmysłach. Najmilszą jego zabawką była przechadzka po lesie. Wtedyto komponował różne wiersze i je na korze buków wyrzynał. Były one nieraz dziwacznej natury. Kilka takich wierszy rozrosłych teraz w ogromne litery, można jeszcze odczytać. I tak zaraz na wstępie do lasu stoi:

Człowiek łap,
Dyabeł cap —
Grzeszna dusza
Bez kontusza. —

dalej znowu napisał:

Bez absurda,
Śmierć to furda. —
Złota daj,
Będzie raj! —

Kilka kroków za tym napisem czytasz znowu:

Miałem chrap,
Dyabeł chap —
By mnie chłostał,
Powróz został. —

I tak kilka morgów lasu napełnił pan Szymon muzą swoją, a lud okoliczny unikał tej literatury leśnej, posądzając autora o związki z dyabłem. Od starego pasiecznika, który liczył sto lat z okładem, dowiedziałem się bliższych szczegółów z życia pana Szymona. Wałęsał on się wiele po świecie, a że to był czas, gdzie szlachcic nie mógł spokojnie w domu siedzieć, toż i pan Szymon wziął kilka pachołków i wraz z konfederatami gdzieś za Wisłę pojechał. Po wielu latach wrócił do domu. Razem z nim przyjechał jakiś pan w dużej peruce i niejaki czas w Złotej górze przesiadywał. Z nim wyjeżdżał często pan Szymon do Węgier na Spiż. Razu jednego wrócił sam pan Szymon bez towarzysza. Długo rozczytywał się w pozostałych po nim papierach, a na trzeci dzień w nocy wyszedł z rydlem na wzgórek do ogrodu, kopał do białego dnia, i od tego czasu począł cierpieć pomięszanie rozumu, w którem to szaleństwie owe wiersze komponował.

— I czegoż on tam szukał? zawołały kobiety.

Pan Krzysztof odpoczął sobie chwilkę i dalej tak mówił:

— Zestawiwszy to wszystko razem com teraz słyszał, a com dawniej na własne oczy widział, byłem pewny, że pod lipami zakopane są jakieś skarby. Przyszedłem także na ślad tradycyi, że przed kilkudziesięciu laty przebywał u pana Szymona jeden z owych lekkomyślnych ludzi, którzy dla igraszki lub z prywaty rozpędzali sejmy nasze obradujące nad sprawami publicznemi. Gość pana Szymona miał to samo uczynić, i za niezgodę, którą między swymi wzniecił, wziął od jakiegoś stronnictwa wielkie pieniądze. Miał jednak wstręt do tych pieniędzy i chcąc się ich pozbyć, zakopał w ogrodzie, a sam zniknął bez wieści. Panu Szymonowi wlazł ten skarb tak do głowy, że poryl pługiem i motyką całe owe wzgórze, a gdy go kto o przyczynę pytał, to mówił, że ziemię nieurodzajną sprawia. Ztąd też sąsiedzi, którzy wiedzieli o co właściwie chodzi panu Szymonowi pytali go: „A jak tam sprawa“! co w późniejszym wieku, gdy już cierpiał pomięszanie rozumu, sam często powtarzał:

Myśleliśmy że tutaj kończy się ciekawe opowiadanie pana Krzysztofa i markotno nam było, że ta dziwna tajemnica pana Szymona rozwiązała się w sposób tak pospolity. Pan Krzysztof widział to po twarzach naszych, a chcąc nam chwilowe nieukontentowanie wynagrodzić, wydobył z zanadrza zwitek papieru i rozłożywszy go rzekł:

— Po długich a daremnych poszukiwaniach przyszedłem wreszcie na ślad ukrytego skarbu. Przy restauracyi kominka znalazł się dokument, który mam tutaj w odpisie:

„W imię Boga Ojca, w Trójcy jedynego... Moim sukcesorom wiadomo czynię, że w ogrodzie na wzgórzu zakopany jest skarb wielki. Całe życie pragnąłem tego skarbu i strawiłem się w tem pragnieniu nie osiągnąwszy go. Właściciel bowiem tego skarbu schodząc z tego świata rzekł mi: „W ziemi twojej zakopałem skarby, nabyte przez niezgodę. Zgodą tylko możesz je wydobyć. A kto z niezgodą w sercu do dzieła przystąpi, ten zamiast skarbów, wykopie powróz, t. j. rozpacz żądzy zawiedzionej. Jeźli na to wzgórze przyjdzie rodzina jaka w zgodzie i jedności, to Bóg zdejmie klątwę z ukrytego skarbu i natchnie szukających wspólnie, że od razu trafią na niego. Ja nie

miałem rodziny, mówi dalej dokument, i próbowałem w zgodzie z jedynym przyjacielem moim panem Floryanem te skarby odgrzebać. Ale za pierwszym uderzeniem rydla o jaki kamień podziemny, powadziliśmy się, sądząc, że to już skarb. Ktokolwiekbądź tę kartę do rąk dostanie, niech w zgodzie i jedności szuka tego skarbu, którego my przez niezgodę znaleźć nie mogli".

Szymon B*** mp.

Tu następuje przypisek mego ojca:

„Jako świadek podpisuję się i w razie nagłego zejścia z tego świata wkładam obowiązek na mego syna Krzysztofa, aby wraz z rodziną swoją w zgodzie i miłości tego skarbu szukał. A gdyby takowej nie miał, niech to uczyni pan Jędrzej, aby skarb ten w moim rodzeństwie pozostał. Wiadomość o tem da mu Krzysztof w dzień świętego Floryana, w szarej komnacie, przy kominku, bo wtedy będę tam duchem obecny, aby się pokrzepić najlepszemi memi wspomnieniami. W tym dniu bowiem kochałem mego syna, w innych tylko samego siebie.

Floryan B*** mp.

Jeszcze nie byliśmy wyszli z osłupienia, w jakie wprowadziło nas to dziwne zakończenie historyi o skarbie zakopanym, gdy pan Krzysztof wstał z krzesła, a chodząc po komnacie mówił dalej:

— Myślałem, że przemogę wyższe wyroki i sam skarb wykopię. Jestem na brzegu życia, a skarb dotąd nietknięty. Otóż dzisiaj zapiszę wam to wszystko co oczy widzą, całą Złotą górę, a jutro pojedziemy, aby zgodnem sercem i zgodną myślą szukać tego, co dla niezgodnych ma być na zawsze ukrytem! —

Rzekłszy to odwrócił się twarzą od nas, abyśmy na niej nie ujrzeli tego uśmiechu złośliwego, który czynił go podobnym do konterfektu w czarnych ramach.

(*Dok. n.*)

Z DRAMATU A. MAŁECKIEGO

pod tytułem

JADWIGA.

Aktu czwartego

Scena VII.

JADWIGA. DOBIESŁAW. JANUSZ TĘCZYŃSKI i JANKO.

JADWIGA (do Dobiesława).

Tryumfuj, panie! Odniosłeś zwycięztwo,
Wielkie, o! świetne, nad swoją królową!
Mąż nad niewiastą! — Odniosłeś zwycięztwo
I nad książęciem! I ustąpił jeden,
Niemal bezbronny, przed zastępem zbrojnych!
Stało się zatem już wszem w obec jawno,
Że nie ja panią, że wy tutaj panem,
Że wasz się rozkaz, nie królowej pełni! —
Dobrze więc, niechaj będzie tak! — Królowa
Z rąk waszych władzy wydzierać nie będzie!
Panuj i króluj bez przeszkody żadnej!
I żeń i rozwódź, kogo zapomyślisz,
Czy się pod strzechą zrodził, czy w pałacach,
Czy skibę orze, czy piastuje berło,
Czy ci poddanym jest, czy panem twoim! —
Lecz jak Bóg żywy, pod takiemi rządy
Nie mnie, — chociażem tylko słaba dziewka —
Nie mnie żyć dłużej i królową zwać się! —
Takie królestwo — to chyba na wzgardę!
Taka korona, to korona z ciernia!
Dla tej korony — Ludwikowa córa
Nie rzuci życia, i serca i wiary
Komuś pod stopy, co w ostępie lasów
Zrodzon i wzrosły — łzyby me szyderstwem,
A niemą skargę spłacał okrucieństwem,
A przeszłość moję nazywał występkiem,
A pamięć grzechem, a uległą wierność,
Czułe pieszczoty, przywiązanie, miłość,
Nawet i miłość, gdyby dlań być mogła,
Przyjmował z wstrętem, jako podłą bojaźń
Lub jak obłudę, gdyżby mi nie wierzył! —
Składam królestwo me więc w ręce Wasze.
Dajcie je Jemu (na Dobiesława wskazuje), —
dajcie je Jagielle,
I — komu chcecie! — Komukolwiek dacie,
Modlić się będę do Boga na niebie,
(rzewnym głosem)
Byście szczęśliwi byli — i potężni —
Ale królować wam — nie chcę, nie będę! —
Żegnajcież w Bogu i puszczajcie z bramy!

DOBIESŁAW
(pada na kolana przed Jadwigą)

Ulitowania, Miłościwa Pani!

JADWIGA.
(przerywa mu i odwraca się od niego po pierwszych słowach)

Dość téj pokory pustych słów! —
Nie złamie teraz mojego zamiaru
Ani niczyja przemoc — ani prośba —
(rozkazującym głosem):
Odewrzeć bramy! żegnajcie mi w Bogu!
(Widząc że się nikt nie zabiera do otwierania bramy)
Jakto?
Aniż tej woli mej, woli ostatniej,
Uczynić zadość nie chcecie? — Więc sama,
Sama zdobędę sobie wolność . . .
(porywa za siekierę porzuconą opodal bramy, i tłucze w zamek)

JANUSZ TĘCZYŃSKI
(błagalnie, przystępując do niej)

Pani!
Miej Boga w sercu!

(Za trzeciem uderzeniem drzwi z trzaskiem otwierają się na oścież. Jadwiga w milczeniu zatrzymuje się na progu, trzymając jeszcze siekierę w ręce. — Archidyakon Janko podchodzi ku niej i także staje u proga).

JANKO (uroczyście)

Wnuko Kaźmierza!

JADWIGA (patrząc za bramę)

Co ten widok znaczy?

JANKO.

Oto lud polski, lud twój, na kolanach
Żebrzące ręce podnosi ku tobie! —
Nieszczęsne czoła niezliczonej rzeszy
Biją o ziemię, ciała legły mostem,
Abyś — jeżeli odejść masz — odeszła
Tratując po nich! Bo i cóż im życie,
Kiedy ni matką ni orędowniczką
Prośb ich do Boga już nie będziesz? — Spojrzyj
Na niemowlęta, które wznoszą matki
W górę ku tobie! Gdyby tym maleńkim
Rozwiązać usta, aby mówić mogły:
W jakieżby one się ozwały słowa?
— „My przyszłość Polski; w co my się obrócim,
Gdy sierotami rzucisz nas?“ —

(wypada siekiera z ręki Jadwigi)

I spojrzyj
Na te siwizną osypane głowy: —
To wojownicy dawnych lat — rówieśni
Wielkiego dziada twojego, Kaźmierza! —
Z nimi on wspólnie swoję krew przelewał
Na polach bitew, — dla nich pisał prawa, —
Ich dolę słodził, wynagradzał krzywdy, —
Ich to go Ojcem późna przyszłość nazwie! —
Wieczór ich życia przypomniał im ranek,
Bo co stracili w nim, znaleźli w tobie —
Znaleźli Matkę! — Kto nam teraz matką,
Kto będzie matką, gdy nie stanie ciebie? —

GŁOSY LUDU

O! zostań z nami, nie porzucaj, zostań!

JANKO

Słyszysz ich drżące głosy, ich wołanie?
„O! zostań z nami, gospodyno nasza!
„O! nie odbiegaj nas, czeladki swojej!
„Nie dawaj na rzeź nas domowej wojny!“ —
W miłości k'tobie złączyły się serca
Wszystkich ziem polskich, stanów wszech i rodów!
Gdy ty odejdziesz, znowu łuny nocne
Uderzą w niebo — miast i wsi płonących,
I w kłębach dymu wzniosą w górę jęki,
Wzniosą niewinnych sierot płacz i skargi,
Jęki i skargi na ciebie, Jadwigo!

(milczenie, poczem Janko uroczystym głosem)

Gdyby mi dana była moc, odchylić
Zasłony wieków, które przyszłość słoni . . .
Gdyby mi była dana moc, przestrzenie
Dalekich krain i te ludy na nich
Do stóp twych rzucić, jako te zaległy: —
Usłyszałabyś jeszcze inne głosy!
Tam już nie z prośbą o to ziemskie szczęście
Ramiona k'tobie z głębokości wznoszą:
Tam dusze — chrztu wołają, — i zbawienia, —
A Bóg na krzyżu za nich konający
Patrzy tej chwili na cię . . .

JADWIGA (z płaczem)

O zamilknij!
O! nie mów tego! — To nad moje siły! —
Biada mnie słabej! — czemużem niewiasta? —
Gdybym z męskiege miała serce spiżu! . . .
O! gdybym miała! — Same łzy mam tylko! —
O płyńcie, płyńcie wy moje łzy biedne!
Żegnajcie, złote — szały! — — —

(zawraca się od bramy i wolnym krokiem postępuje ku drzwiom kościoła)

JANKO.

Idź, duszo święta, złóż w ofierze Bogu
Te łzy anielskie — —

(łamie mu się głos)

Zroś niemi kamień, który kryje prochy
Patrona Polski, Stanisława! Płacz twój
On w grobie swoim usłyszy, zrozumie,
Uprosi Boga, by cię natchnął myślą,
Jak masz postąpić! —
Zlej myśli swoje z myślami praojców
Twoich królewskich, co tam legli w grobie!
Przyzwij ich duchy! — Rzuć się na kolana
Przed Rozpiętego na krzyżu obrazem,
On cię bez słodkiej pociechy nie puści! —

Jadwiga wchodzi do kościoła. Dobiesław i Janusz stoją jak wryci w miejscu, na przedzie sceny. Zasłona spada.

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

Aktu piątego

Scena I.

(Komnata królowej. — JADWIGA w białej sukni — wśród grona kilku PAŃ i PANIEN swego orszaku. Panny, pomiędzy niemi HALSZKA, krzątają się około dokończenia ubrania królowej. ANNA, niegdyś piastunka Jadwigi, kieruje tem ich zajęciem).

HALSZKA

(podchodzi do królowej z kwiatami w ręku)

Lecz za nic wszystko przy takich ślicznościach! —
Któryż z tych kwiatów każesz przypiąć, Pani,
Sobie do włosów, a który u piersi?

ANNA (wtrącając się)

Jakież są? pokaż.

HALSZKA (pokazując z kolei)

Oto myrt, kwitnący! —
Pąkowie róży — czerwonej i białej! —
Lilie — konwalia — ruta — i rozmaryn! —
Jabym myślała, że różyczka biała
Przy ciemnych włosach wyda się przecudnie . . . .

ANNA (dobrodusznie ale rubasznie)

A tobyś pięknie ubrała królowę,
Gdyby mnie tutaj nie było! — Czerwoną,
Czerwoną trzeba tu przyszpilić różę! —
Dosyć tej bieli! wszak i szata śnieżna.

I twarz bledziuchna (miły Boże odpuść,
Lecz to tak zawsze: — kiedy ślub za progiem,
Gaśnie rumieńczyk na panieńskiem liczku).
Więc coby było, gdyby chociaż kwiatem
Onej bladości nie ożywić?

HALSZKA (nie ustępując)

Jednak — — —

JADWIGA (przerywa)

Ja was pogodzę.

ANNA (usłużnie)

Albo co? obydwie?

JADWIGA.

(tonem głębokiej ale spokojnej rezygnacyi)

Niesiesz mi kwiaty, moja dobra Halszko,
Bo zapominasz, że na dzień dzisiejszy
Koronę trzeba mi włożyć na głowę.

HALSZKA.

O tem pamiętam, miłościwa Pani;
Ale myślałam, że, chociaż w koronie,
Znajdzie się jednak — —

JADWIGA.

(przerywa z smętnym uśmiechem)

I dla kwiatka miejsce?

HALSZKA

Wszakże do ślubu-to cię ubieramy!

JADWIGA

(biorąc czerwoną różę z rąk Halszki)

Gdy ciebie będą do ołtarza wiedli,
Znajdzie się wtedy na twej ładnej główce
I dla weselnych takich kwiatów miejsce.
U mnie — inaczej ....!
Z koroną — kwiaty wspólności nie mają! —

(wpatruje się w różę, którą ma w ręce)

Choćbyś przypięła ją, zgniecie złocistej
Obręczy ciężar tę pąkówkę — biedną!
Piękna! i cudnej woni jest! — Oddaję,
Co nie jest mojem ....

(oddaje różę Halszce)

Podajcie koronę!

ANNA (niosąc złoty dyadem)

Niechże ją włożą moje wierne ręce
Królowej mojej na skronie!

(przypina koronę, potem odstępuje krok w tył, i plesnąwszy w dłonie):

Mój Boże,
Jak ci też ładnie w tym królewskim stroju!

(robiąc odpowiedni gest ręką ku ziemi)

Od takiej znam cię; codzień patrzę na cię,
Codzień uwielbiam; — ale w tej piękności
Nie oglądały ciebie oczy moje,
Co dziś, co teraz, — nigdy!

JADWIGA (uśmiechając się)

Czy na prawdę?

ANNA (jowialnie)

Jak mi Bóg miły! — Kiedy cię zobaczy
Litewski Książę i z radości serce
Mu nie wyskoczy: to niech sobie prawią
Co chcą: — nie wierzę!...

JADWIGA.

W co nie wierzysz?

ANNA

Żeby
Wart był kochania!

JADWIGA

Czy mówią, że warcien?

ANNA

Dziwa gadają!

JADWIGA

Cóż?

ANNA

Jużto, że mężny,
Dzielny, jedyny do potyczki z wrogiem,
O tem nie wspomnę, boć pobił Krzyżaki,
Co rzecz nie-lada! — Ale co ciekawsze:
Gdy już do bitwy zaczynali trąbić,
Pono się rzucił na kolana, ale
Tak, skrycie jakoś, w zakącie namiotu,
Żeby nie widział nikt, (jednak widzieli); —
I to się żegna, i w niebiosa patrzy,
(Snać więc już wierzy w Boga — i pobożny!)
To wydobędzie z zanadrza obrazek
I patrzy w niego, przyciska do serca
I bije w piersi i znowu się żegna
I znowu patrzy — — —

JADWIGA

Cóżto za obrazek?

ANNA

Otóż to właśnie, co tu najważniejszem:
Bo z tego widno, że nie tylko dobry,
Ale uległy nawet mąż zeń będzie; —
Twój to był obraz, nie wiem zkąd go dostał,
Dość że go ma — i nawet przed nim klęka!

JADWIGA (uśmiecha się)

Ależ on przecież pono już stateczny!

ANNA

Ej! co tam znowu? Lat trzydzieści, z małym
Jakim dodatkiem, może sześć lub siedem, —
Zresztą wie tam Bóg, kiedy się narodził,
Bo metryk w Litwie dotąd nie pisali;
Ale co pewne, to że nikt mu z twarzy
Nie zdoła poznać, że już przebył trzeci
Żywota krzyżyk.

JADWIGA

A Gniewosz powiadał,
Że mu pięćdziesiąt już — —

ANNA (oburzona)

Nie razto pierwszy
Ja na matactwie schwytuję Gniewosza!
Co powie — kłamstwo! — Tak też rozpowiadał,
Że na niedźwiedzia patrzy, gdy tymczasem

Pan, jakich mało, jest książę Jagiełło!
Wszyscy to świadczą, którzy go widzieli,
Wszyscy!

JADWIGA (z zajęciem)

Na prawdę?

ANNA

Jakby się zmówili,
Słudzy — Panowie — kto go tylko widział!

JADWIGA (do Halszki)

Co myślisz, Halszko, małą różczkę myrtu
Dobrzeby jednak może było przypiąć?

HALSZKA

Natychmiast, Pani.

ANNA

Słuszna rzecz! Bez myrtu
Kto słyszał ślub brać? Niechże Pan Bóg broni!

(przypinają).

Pamiątki Trębowelskie.

przez

Augusta Bielowskiego.

(Ciąg dalszy).

Dawid był w Włodziemierzu. Przyjechał tam zaraz za Wasylkiem. Osadził więźnia w dworze Wakijewa, przydawszy mu straż 30 mężów i dwóch swoich pachołków: Ułana i Kołczę. Już go doleciały wieści że zbierają się przeciw niemu xiążęta i chcą się zemścić za Wasylka. Już nawet i samemu Wasylkowi, acz pilnie strzeżonemu tajnem to nie było. Radzono więc co począć. Tu ów spółczesny opowiadacz odkrywa nam jedną ciekawą scenę ktorą słowami jego powtórzymy. „Byłem, powiada, we Włodzimierzu, zbliżał się właśnie wielki post; jednej nocy przysłał po mnie xiążę Dawid. I przyszedłem ku niemu: siedziała w około niego drużyna; posadził mię i rzekł. Oto powiadał tej nocy Wasylko Ułanowi i Kołczy: „słyszę że idzie Włodzimierz i Świętopołk na Dawida, gdyby Dawid zechciał mię usłuchać, posłałbym człowieka mego do Włodzimierza aby się wrócił“. A więc Wasylu! posyłam cię, pójdź do Wasylka, swego imienika, z tymi pachołkami, i powiedz mu tak: „jeśli poszlę od siebie człowieka, a Włodzimierz do dom się wróci, to dam mu gród który mu się podoba, bądź Wsewołoż, bądź Szepol, bądź Peremyl“. Owoż poszedłem do Wasylka i powiedziałem mu co mówił Dawid. On zaś rzekł: Tegoć ja wprawdzie nie mówiłem, jednakże poszlę aby nie przelewano za mnie krew, i mam w Bogu nadzieję że tak się stanie. To mię tylko zadziwia że Dawid daje mi grody te jakoby swoje? a wszakoż ja jak byłem xiążęciem trębowelskim, tak i jestem nim, i będę! A zwracając rzecz do mnie: idź, rzekł, do Dawida i powiedz mu niech mi przyszle Kulmieja, ja do Włodzimierza go poszlę. Dawid go nie usłuchał, i odesłał mię z powrotem mówiąc: Kulmieja tu niema. I rzekł mi Wasylko: siądź tu na chwilę. I kazał słudze swemu wyjść. I siadł koło mnie, i począł mówić: Słyszę że Dawid chce mię wydać Polakom; toż nie dość się nasycił moją krwią? pragnież jej jeszcze więcej, i Polakom mię wyda? O ja wiele złego Polakom zdziałałem, i zdziałaćem jeszcze zamyślał, mszcząc się na nich za Ruś. Jeśli mię im wyda, śmierci się nie boję. Lecz to ci powiadam. Bóg ukarał mię za moją dumę. Gdy posłyszałem że idą do mnie Berendeje i Pieczyngi i Torki, rzekłem do siebie: skoro tu staną, zawołam do brata Wołodara i do Dawida: dajcie mi młodszą swoją drużynę, a sami pijcie i weselcie się. I myślałem sobie: najadę Polskę zimą, latem ją podbiję i wywrę zemstę za Ruś. Potem chciałem zwojować dunajskich Bołgarów i osiedlić nimi mój kraj; a potem chciałem prosić Świętopołka i Włodzimierza aby mi dozwolili zrobić wyprawę naPołowców, gdzie albobym sobie sławę zdobył, albo poległ za Ruś. Innej żądzy w sercu mojem nie miałem. Nie zamierzałem nic złego ani przeciw Świętopołkowi, ani przeciw Dawidowi; klnę się Bogiem że braci mojej w niczem szkodzić nie chciałem; za moją zarozumiałość, żem przyjściem Berendejów zbyt rozradował się w sercu, i w zbytnią dumę się wzbiłem, poniżył i upokorzył mię Bóg“.

Rozmowa ta nie wzięła żadnego skutku. Wasylko siedział dalej w więzieniu, a gdy się zbliżała wielkanoc wyprawił się Dawid zagarnąć jego włość. Koło Buska spotkał się z Wołodarem, Wasylka bratem, który stał z wojskiem swojem w pogotowiu. Dawid zamknął się w Busku, a Wołodar go obległ. Gdy mu wyrzucał oślepienie swego brata, odparł Dawid, że nie on to zrobił, ale Świętopołk. Ja sam, powiada, bałem się go. Byłem w jego ręku, co on więc kazał, na wszystko przystawałem. I rzekł Wołodar: Bóg niech będzie waszym sędzią! a teraz wypuść mi brata i zrobimy z tobą mir. Uradowany Dawid posłał po swego więźnia, i zawarli pokój, w skutek którego Wasylko objął na powrót Trębowlę, a Dawid do Włodzimierza powrócił. Pokój ten wszakże był tylko chwilową ułudą.

Ledwie nastała wiosna już Wołodar z Wasylkiem szli na Dawida i oblegli gród jego Wsewołoż. Dawid zamknął się we Włodzimierzu. Rościsławicze zdobywają szturmem Wsewołoż i miasto zapalają. Lud chroniąc się przed pożarem, ucieka; Wasylko każe go ścigać i zabijać; mści się na ludu niewinnym i broczy w jego krwi. Wnet podstąpili pod Włodzimierz grożąc miastu zniszczeniem, jeśli im nie wydadzą bojarów: Turiakę, Łazara i Wasyla jako doradców Dawida. Wzbraniał się wydać ich Dawid. Mieszczanie schodzą się na wieca i powiadają xięciu: za ciebie chcemy się bić, za nich nie. Wydaj ich, w przeciwnym bowiem razie otworzymy bramy, a ty sam myśl o sobie. Rad nierad zezwolił Dawid na ich wydanie. Nie było ich już we Włodzimierzu. Turiaka umknął szczęśliwie; Łazara z Wasylem zchwytano w Turyjsku, sprowadzono do Włodzimierza w niedzielę, a nazajutrz do dnia powieszono. Wasylko był nienasycony w swej zemście;

dogadzając jej jego drużyna rozstrzeliwała wiszące trupy strzałami.

›To była druga zemsta Wasylka‹, mówi ów opowiadacz spółczesny ›której nie powinien się był dopuścić; niechby był zdał zemstę na Boga, Bóg bowiem sam jest mściciel krzywd".

Rościsławicze cofneli się ku domowi; odetchnął nieco Dawid ale nie na długo. Świętopołk bowiem, który poprzysiądz musiał Monomachowi i jego sprzymierzeńcom, że Dawida pojmie lub z Włodzimierza wypędzi, szedł dopełnić swych zobowiązań. Chciał on przedewszystkiem porozumieć się z naszym Władysławem Hermanem, i przybył w małym poczcie do Brześcia, zapraszając xięcia polskięgo na rozmowę. Właśnie też w Polsce szukał pomocy i Dawid. Władysław starał się ich pojednać. Zabrawszy z sobą Dawida przybył do Brześcia roku 1099 i stanął obozem nad Bugiem. Rozpoczęto umowy. Świętopołk nie był w stanie uwolnić się od zobowiązań przyjętych na się w Kijowie bez narażenia się na utratę swych posiadłości; z drugiej strony sam zdrowy rozsądek, równie jak i uczciwość nakazywały xięciu polskiemu trzymać raczej z Wielkim xięciem kijowskim, niżeli z którymkolwiek z drobnych xiążąt, i wieść rzeczy do zgody, a nie do coraz większych wojen domowych. Wszystko więc co dla proszącego o pomoc Dawida zrobić mógł swojem wdaniem się nasz Władysław, było łagodne, pobłażliwe postępowanie ze strony Świętopołka. Dano to dość wyraźnie do zrozumienia Dawidowi; radzono aby się udał do Włodzimierza, a na wypadek niebezpieczeństwa znajdzie zawsze w Polsce, jeśli nie pomoc czynną, to przytułek bezpieczny. Uradowany był Świętopołk z wyrozumiałości, jaką znalazł u xięcia polskiego, i składał mu wielkie dary, a prawdopodobnie umówione zostało wtedy zaślubienie jego córki, Zbisławy, przez Bolesława Krzywoustego, które w sierpniu roku 1102 istotnie nastąpiło.

Rad nierad pełnił Świętopołk dalej swoje zobowiązania. Wrócił najprzód do Pińska i posłał po wojsko dając mu rozkaz ciągnąć ku Włodzimierzowi. Złączywszy się znim w Drohobużu podstąpił pod Włodzimierz. Zamknął się w nim Dawid, mając nadzieję, że Polacy w pomoc mu przyjdą. Siedm tygodni oblegał go Świętopołk. Gdy pomoc nie przybywała, począł go prosić Dawid, aby mógł z grodu wyjść swobodnie, na co tenże przyzwolił. Przeniósł się więc najprzód do Czerwienia, a niebawem w głąb Polski; a Świętopołk zająwszy w samą sobotę wielkanocną roku 1099 Włodzimierz, gotował się do wyprawy przeciw Rościsławiczom, chcąc zająć i Trębowlę i Przemyśl jako włoście, które do Wsewołoda, rodzonego jego stryja, a Wielkiego księcia kijowskiego należały. Ostrzeżeni o tem dość wcześnie Wasylko i Wołodar wyszli naprzeciw niemu. Spotkały się oba wojska na polu Rożni, jak mówi kronikarz. Liczne były zastępy Świętopołka. Rościsławicze wyrzucali mu wiarołomstwo, upewniał ich bowiem, że tylko Dawida chce wygnać, a ich zostawić w pokoju. Śród bitwy, która była nader zacięta i krwawa, ukazał się na czele hufców ślepy Wasylko. Krzyż wysoko w górę podniosłszy, wołał głosem donośnym ku Świętopołkowi: Oto krzyż na który przysięgałeś. Wydarłeś mi pierwej już oczy, a teraz chcesz jeszcze wydrzeć mi duszę? Niech między nami rozstrzyga ten krzyż! I pomknęły się hufce ku sobie, i była wielka rzeź, a wielu co przeciw Wasylkowi walczyło, widząc krzyż w jego ręku, poczęło upadać na duchu. Świętopołk unikając klęski zupełnej cofnął się do Włodzimierza i wysłał syna swego Jarosława, po pomoc do Węgier. Wołodar z Wasylkiem ścigali cofającego się Świętopołka tylko do granic.

Zostawił Świętopołk we Włodzimierzu syna swego, Mścisława; Światoszę krewnego swego osadził w Łucku, a sam wrócił do Kijowa. Tymczasem wezwani przez Jarosława Węgrzy przybyli wraz z królem swoim Kolomanem. Ustęp ten z dziejów naszej ziemi podany nam jest tak, że go raczej za twór wyobraźni niżli za zdarzenie prawdziwe poczytać można.

Gdy król Koloman, powiada Turocz, węgier, wkroczył do Rusi, wyszła przeciw niemu xiężna tamtejsza, imieniem Lanka, i rzuciwszy mu się do nóg zaklinała go ze łzami w oczach, aby się nad biednym ludem litował i nie niszczył go. Król potrącił ją nogą, i kazał się jej oddalić. Wyszła jęcząc i do Boga o pomoc wołając. Nocą nadciągnęło mnóstwo Kumanów z wodzem swoim, Mirkodem, a nim jeszcze świtać poczynało uderzyli na obóz królewski, przedarli się do środka i wszystkich okrutnie zabijali. Znakomitsi Węgrzy skupili się w około swego króla; ścigając ich Kumanowie, zabili walecznego Euzema, z rodu Almusowego, i cały orszak jego wycięli; ranili śmiertelnie Julę, który uciekł wprawdzie do Węgier, lecz wkrótce umarł z ran; zabili Kupana i Wawrzyńca, biskupów, i mnóstwo innych wojowników. Król ze swoim orszakiem ratował się szybką ucieczką, a wszystko co za nim zdążyć nie mogło, dostało się wraz z skarbami królewskiemi w ręce Kumanów. Byłato klęska taka, jaka rzadko kiedy Węgrom się przytrafiła.

Odmienniej opowiada to zdarzenie nasz słowianin, który o xiężnej Lance, jej łzach i proźbie nic nie wie, lecz powieść swoją w dziwactwa i przesadę wschodnią wystroiwszy, nie więcej zasługuje na wiarę niż tamten.

Koloman, powiada Nestor, wkroczył do Rusi, i obległ Przemyśl, obóz główny nad rzeką Wiarem rozłożywszy. Wołodar zamknął się w grodzie. Przybyły ku niemu z Polski Dawid zostawił żonę w Przemyślu, a sam za Połowcami pospieszył. Spotkał hana Połowców, Boniaka, i ciągnęli ku Przemyślowi. Gdy stanęli na nocleg, a była północ, Boniak obóz swój zostawiwszy szedł w puszczę. I począł wyć jako wilk. I z głębi puszczy odezwał się ku niemu wilk, a wnet chórem całe ich stado zawyło. I wrócił wesoł do obozu Boniak i rzekł Dawidowi: jutro zwycięstwo nad Węgrami odniesiem.

Nazajutrz rano uszykował Boniak swoje wojsko. I miał Dawid wszystkich ludzi stu, a Boniak trzystu. I rozdzielił je na trzy hufce. Uszykowali się też do boju i Węgrzy, a było ich sto tysięcy. I dał Boniak Altunopie 50 człeka i kazał mu pójść naprzód i na Węgrów uderzyć, Dawidowi powierzył główny sztandar a sam wziął sto ludzi i rozdzielił ich na dwie części. Altunopa na czoło Węgrów uderzywszy, począł się spiesznie cofać. Puścili się za nim w pogoń Węgrzy, i oddziały Boniaka minęli. Natenczas uderzył na nich Boniak z tyłu i mocno im docierał. I w tejże chwili nawrócił się ku nim i Altunopa, z przodu im docierając. Boniak tedy wszystkie trzy hufce swoje w bój wprowadziwszy rozbił na miazgę potęgę Węgrów, i pierzchnęli, jak kawki przed sokołem pierzchają. Mnóstwo ich utonęło we Wiarze, mnóstwo w Sanie, jeden drugiego z brzegów w nurty strącając. Przez dwa dni ścigano ich i bito. Poległ biskup ich Kupan, poległo bardzo wielu bojarów; powiadają że 40 tysięcy ich padło.

Długosz, który mógł mieć lepsze źródło pod ręką o tych zdarzeniach, powiada że w tej wyprawie było wszystkich Węgrów ośm tysięcy, i że w dniu spotkania z Boniakiem połowę wojska swego utracili.

Z tych różnorodnych podań to tylko zawiązać można z pewnością, że Węgrzy ponieśli znaczną klęskę i pomoc ich na nic się Świętopełkowi nie przydała. Jarosław, syn jego, umknął do Polski, a ztamtąd udał się do Brześcia. Tymczasem Dawid, który również gościnnie w Polsce był przyjmowany, przybył do pogranicznego Czerwienia, skąd próbował na nowo odzyskać swoje xięstwo włodzimierskie. Łatwo zajął miasto Włodzimierz, ale w grodzie zamknął się Mścisław i bronił się potężnie, mając przy sobie Brześcianów, Pińszczanów i Wyszegowców. Dobywał go z natarczywością Dawid, i w jednym szturmie, w którym strzały jak grad padały, Mścisław wychyliwszy się na czoło walczących, gdy łuk u parkanu naciąga, strzałą pod pachę ugodzony, poległ. Tajono w wojsku przez trzy dni śmierć jego; a tymczasem o pomoc posłano do Świętopełka, i zamek bronił się dalej. Dawid liczył na Światoszę łuckiego, z którym miał tajne porozumienie, że mu do odzyskania włości jego dopomoże; a gdy go to zawiodło, wezwał na pomoc Połowców. Przybył han połowiecki, Boniak. Z nim wygnał on najprzód Światoszę z Łucka, a potem zdobył Włodzimierz.

W następnym 1100 roku zjechali się w miesiącu czerwcu do Uwiatycz xiążęta ruscy: Świętopełk, Monomach, tudzież dwaj Świętosławicze: Oleg i Dawid, i zawarli z sobą przymierze. Dla zapobieżenia dalszym wojnom domowym postanowili zjechać się tamże na obrady pod koniec sierpnia, wzywając na nie xiążąt z ziemi czerwieńskiej. Zgodzili się na to, iżby usunąć Dawida z Włodzimierza, a Wasylka z Trębowli; ale ich postanowienia zostały w części bez skutku. Wezwany Dawid Igorowicz przybył, i zasiedli wszyscy na jednym kobiercu. Panowało czas jakiś milczenie. Przerwał je Dawid mówiąc: Wezwaliście mię, otóż jestem! mówcie komu z was krzywdę jaką zrobiłem? Monomach przypomniał mu, że on sam pragnął niegdyś użalić się przed braćmi na swoje krzywdy, czemuż je teraz nie przekłada? Dawid milczał. Sprzymierzeni xiążęta powstali, siedli na koń i odjechawszy na ustroń, naradzali się każdy osobno z swoją drużyną. Dawid został sam jeden. Po niejakim czasie przysłali doń swoich posłów: Świętopełk Putiatę, Monomach Orogosta i Ratybora, Dawid i Oleg Torczyna; i rzekli mu w imieniu swoich xiążąt: Oto nie damy ci xięstwa włodzimirskiego, boś jest sprawcą czynu, jakiego w naszej ziemi nie bywało. Wszelakoż nie chcemy cię imać, i nic złego ci nie wyrządzim; chcemy tylko abyś zajął sobie gród warowny Busk, a Dubno i Czartorysk da ci Świętosław, a Monomach da ci 200 grzywien, i tyleż grzywien Dawid z Olegiem. Po niejakiem wahaniu się zgodził się Dawid, a Świętopełk dodał mu jeszcze Drohobuż; w Włodzimierzu zaś osadził syna swego Jarosława. Trudniejsza sprawa była z Rościsławiczami, którzy na zjazd w Uwiatyczach wcale się nie pokazali. Wysłano do nich posłów i kazano powiedzieć Wołodarowi: Weź do siebie Wasylka, a Przemyśl będzie jedyna wasza włość. Podoba ci się mieszkać razem z Wasylkiem, to dobrze; nie podoba ci się? tedy odeszlej go do nas, a my go między sobą żywić będziemy. Nadewszystko zaś wydaj nam naszych chłopów i smerdów, których w wojnie zabrałeś.» Nie usłuchali ich Rościsławicze, a gdy obradujący nie chcieli poprzeć orężem tego co uradzili, panował więc dalej w Przemyślu Wołodar a Wasylko w Trębowli.

Wołodar dokuczał Bolesławowi Krzywoustemu najeżdżając często jego pogranicze. Zchwytał go podstępem na łowach sławny Piotr, zwany Duninem, i związanego oddał Bolesławowi. Mógł się na nim teraz okropnie zemścić xiąże polski; wolał mu jednak przebaczyć. Kazawszy tedy złożyć sobie znaczne opłaty za szkody różnemi czasy wyrządzone, wypuścił go na wolność, i zyskał tak w nim jak i w Wasylku sprzymierzeńców.

Jarosław włodzimirski, syn Świętopełka a szwagier Krzywoustego, zostawał ciągle z Polską w dobrem porozumieniu. Miał ten xiąże nieszczęście obrazić Monomacha, który był po śmierci ojca jego Wielkim xięciem kijowskim. Obraza nastąpiła prawdopodobnie z powodu niesnasków z żoną swoją, która była córką Mścisława nowogrodzkiego, a Monomacha wnuką rodzoną. Oblęgany dwa miesiące we Włodzimierzu przez Wielkiego xięcia kijowskiego i jego sprzymierzeńców, zmuszony został w końcu pojednać się z żoną której nie lubił, i dziada jej przeprosić. Gdy po niejakim czasie niesnaski między nimi znowu wybuchły, osadził Monomach we Włodzimierzu syna swego, Romana, a po rychłem jego zejściu, drugiego syna swego Andrzeja, który Polskę z poganami najeżdżał; Jarosław zaś tułać się musiał i błagać pomocy u krewnych swoich i u sąsiadów. W roku 1121 zebrał w Polsce

*

jakąś garstkę ochotników i próbował zdobyć Czerwień broniony przez Tomę Ratyborycza, posadnika; ale to mu się nie powiodło. W dwa lata poźniej ujęli się za nim wszyscy sąsiedzi: Stanęło w około niego wojsko potężne. Szły hufce polskie, węgierskie i czeskie, szedł Wołodar z Przemyśla, Wasylko z Trębowli, i Andrzeja we Włodzimierzu oblegli. Xiąże ten znajdował się w rozpaczliwem położeniu: Monomach nie mógł mu zdążyć na pomoc, ani też posłać dostatecznych posiłków. Wszystko zapowiadało mu upadek niechybny. Ale Jarosław, zaufany w słuszności swojej sprawy, popełnił nieostrożność którą życiem przepłacił. Czyto pałając niecierpliwością, czy też uczuciem ludzkości wiedziony, zostawia rankiem w niedzielę liczne swe hufce i samotrzeć tylko podjeżdża blisko pod zamek. Stali na wałach oblężeńcy, stał między nimi sam Andrzej xiążę, i ciekawie się nadjeżdżającemu przypatrywano. Ujrzawszy ich Jarosław, wołał do nich: ›To mój gród! ja to jestem wasz Xiążę! wyjdźcie, i czołem mi uderzcie! jeśli bowiem bram tych nie otworzycie mi dobrowolnie, pamiętajcie że jutro otworzę je sobie orężem.› Gdy im tak przedkłada i grozi, tymczasem przemknęli się cichaczem z grodu dwaj siepacze najemni tajnemi wychodami, i zaczaili w wąwozie którędy xiążę miał przejeżdżać. Nie przeczuwając niebezpieczeństwa wracał spokojnie do obozu, i już ich mijał, gdy nagle rzucili się na niego z tyłu, zciągnęli z konia i przebili oszczepem. Zginął w okropnych bolach jeszcze tej nocy, a sprzymierzeńcy widząc zniweczony cel swojej wyprawy ku domowi się rozeszli.

Byłato ostatnia wyprawa wojenna Rościsławiczów, zaraz bowiem w następnym 1124 roku umarł najprzód Wasylko, potem Wołodar.

Wasylko zostawił dwóch synów: Iwana i Grzegorza, o których nam ledwie słów kilka podano. W kłótniach i walce między synami Wołodara: Rościsławem przemyskim a Włodymirkiem dźwinogrodzkim, około roku 1126, brali obydwaj udział stając po stronie starszego z nich, Rościsława; a Iwan należał jeszcze do wyprawy, którą Wsewołod kijowski, sprzymierzeniec Polski, przeciw Izasławowi włodzimirskiemu i turowskiemu Wiacześławowi roku 1140 przedsięwziął. Atoli odtąd niesłychać już nic więcej i o tym synu Wasylku, a xięstwo trębowelskie zajął Włodymirko, który mając po ojcu Dźwinogród, po bracie zaś Przemyśl zagarnąwszy, przeniósł stolicę swoją nad Dniestr, do nowo powstałego Halicza, i począł się zwać xięciem halickim. Trębowla więc poczyna od tego czasu stanowić cząstkę xięstwa halickiego, i z Haliczem jednakie losy podziela.

(*D. c. n.*)

PAN STAROSTA ZAKRZEWSKI.

WYDAŁ MICHAŁ GRABOWSKI.

Kijów. Nakładem Leona Idzikowskiego. 1860.

Sprawozdanie St. Pilata.

Pod tym tytułem mamy znowu książkę należącą do literatury pamiętnikowej. Różni się ona od pamiętników zwykłych tém, że nie sam Starosta pisze pamiętnik swój, lecz przy sposobności danej opowiada zdarzenia z życia swego przyjacielowi, ś. p. Jakubowi Ciechońskiemu, marszałkowi zasławskiemu, a ten je dla potomnych czasów spisuje. Rękopism ś. p. Ciechońskiego oddany był przez samegoż autora p. Michałowi Grabowskiemu, by nim „według woli i zdania“ rozporządził. Później p. wydawca udzielił był rękopismu tego p. Kirkorowi, który go miał wydać na rzecz teatru wileńskiego; gdy jednak zaszły okoliczności, które przeszkodziły całkowitemu ogłoszeniu dzieła, p. wydawca sam dopełnia tego niniejszem wydaniem, i wzywa osoby, w których ręku muszą być inne rękopisma ś. p. Ciechońskiego, aby je wydały na widok publiczny.

Starosta Zakrzewski, urodzony w 1718, umarł 1824; żył więc lat 105, i był świadkiem panowania Augusta II i III, Stanisława Augusta, jakoteż następnych smutnej pamięci czasów. P. wydawca poznał go już starcem 90letnim; znał też bliżej i autora pamiętników, marszałka Ciechońskiego, a o dziełku tem tak się w przedmowie wyraża:

„Jest to obrazek jedyny w swoim rodzaju, zupełny i dokończony w artystycznym względzie; jest najwierzytelniejszą biografią (starosty Zakrzewskiego); ma formę zupełniejszą od „Pamiątek Soplicy“, ma obszerniejsze ramy, jedność i dokończoność, których żadne z pojedyńczych wspomnień Soplicy niema“. Wyjmujemy także następujący ustęp z przedmowy wydawcy, jako zdanie o literaturze pamiętnikowej i o użyteczności niniejszego dziełka. „Wizerunki przeszłości, mówi p. wydawca, udatne i prawdziwie natchnione, zbogacają zawsze wiedzę nowemi i ciekawemi szczegółami o tej przeszłości. Dzieje się to sprawą dochowanej tradycyi lub jasnowidzenia jeniuszu, często jednego i drugiego społem; bo płaski rozum i nietalent wierzytelną nawet tradycyą wykrzywią. Wtem więc jest probierz wartości tego rodzaju utworu, to odróżnia dzieło namaszczonego pióra od ckliwych i głupich małpiarstw i powtarzań. Na nieszczęście za pięknym i ważnym działem odtworzeń naszej przeszłości ciągnie się długi ogon przedrzeźniań i niedorzecznych gawęd. One to wywołały już niejakie protestacye przeciw naszej podaniowej i historycznej powieści, co wszakże tego tylko dowodzi, że ci niezadowolnieni nie umieją rozróżnić rzeczy zupełnie odmiennych. Starosta Zakrzewski przyczynił się istotnie do rozwidnienia okresu, w który nas przenosi. Z wielu szczegółów wybieram tylko jeden: pochód na hajdamaków. Pierwsze to dostaliśmy szczegóły o tem, „niespokojnym pokoju“ jak się wyraził Trembecki, który utrapiał wciąż Ukrainę. Dwie wyprawy, do których należał p. Starosta Zakrzewski są nieocenionym pamiętnikiem, pełnym woni i koloru rzeczywistości. Pod tym ostatnim względem wartość jego historyczna tak wielka, że te obrazy zostały przeniesione w literaturę małorossyjską i rossyjską, jako szacowny materyał dziejowy“.

Lubo zgadzamy się w ogólności ze zdaniem przytoczonem; zdaje nam się jednak, że winniśmy do niego dołączyć niektóre uwagi. Prócz wyprawy na hajdamaków, które p. Starosta niby *ex professo* opowiada, inne zdarzenia publiczne tej epoki rozsnuwają się przed nami tylko przypadkowo przy opowiadaniu prywatnych przygód pana Starosty. Gdzie tenże dotyka rzeczy publicznej, tam zostaje

przy zewnętrznej łupinie objawów, kreśli je tylko z powierzchownej okolicznościowej strony, nie wnika głębiej w rzecz, ani też rzuca światła na osobistości znakomite i usiłowania w sprawie narodowej przedsięwzięte. Sto pięć lat przeszło nad głową pana Starosty brzemiennych ważnemi i smutnemi wypadkami, a pamiętnik jego nie ma dla nich echa umyślnego, poważnego, kiedy przeciwnie dla przygód osobistych, dla zdarzeń prywatnych i niemających związku z historyą czasu wymowne z upodobaniem otwiera usta. Cięży nad temi pamiątkami atmosfera mglista, w której żył p. Starosta, kreślący naiwnie w swojej postaci postać swego czasu, i długo towarzyszy mu przeświadczenie, że tak jak było, dobrze było. „Ej! złote to były czasy“ mówi on „piliśmy i biliśmy,“! W tychto czasach zdobywa sobie Starosta tytuł „krzykały“, strzela po pijanemu w karetę, w której hetman jedzie; rąbie i płata zatrzymującą pogoń, i chowa się po drewutniach, póki nareszcie nie otrzymał przebaczenia od hetmana. Tak upływa życie Staroście, mniej więcej hałaśliwie, i zdaje się, że obok poczciwego z gruntu serca i rzetelnej miłości kraju, p. Starosta z kielichem w ręku i demeszką u boku wiernie do grobu doszedł. Nie miał więc, jak się zdaje, przy takich wyprawach ani oka, ani czasu, by zaglądnąć, gdzie się tuliła myśl narodowa, a pamiętnik wygląda, jakby p. Starosta albo nie lubił parać się wyższemi sprawami, albo niewiele miał do nich zbliżenia.

Główną stroną tego pamiętnika, użyteczną jako materyał historyczny, jest, oprócz wspomnionej wyprawy na hajdamaków, i szczegółów przy obleżeniu Baru, jest, mówię, koloryt tego obrazu obyczajowy; w nim widać oświatę upadłą, rozstrój w hierarchi władzy; i nakoniec brak instynktu politycznego w społeczeństwie, o który rozbijały się najlepsze chęci pojedyńcze.

Nie zgadzamy się jednak z p. wydawcą co do artystycznej formy pamiętnika, i co do wyższości jego nad „Pamiątki Soplicy“. W pamiętnikowej literaturze, jakto p. wydawca przyznać raczy, nie tyle idzie o jakąś biografią tego, który opowiada, i jej ciąg chronologiczny, a ztąd niby ugrupowanie zdarzeń w jednych ramach wraz z życiem opowiadacza; idzie tu więcej o treść, o ważność zdarzeń opowiedzianych, o ideę, która je ożywia. Ta treść i idea górować ma nad formą, nad rozmiarami, i nad innemi pisarskiemi względami, które jeżeli nie są kluczem do odgadnienia czasu i do wyjaśnienia zjawisk dziejowych, są tylko rzeczą uboczną. Taką rzeczą uboczną jest owa „jedność i dokończoność“, owe „wielkie ramy“ obrazu w „Staroście Zakrzewskim“, czem pamiętnik ma niby mieć przewagę nad pojedyńczemi obrazkami Soplicy. Nam się ta rzecz inaczej przedstawia. Najprzód opowiadanie przeszłości przez cudze usta nie nazwalibyśmy formą doskonalszą; bo i któż wie, ile w takim obrazie jest widzeniem i wrażeniem świadka naocznego, a ile należy do tego, co pamiętnik z cudzej pamięci pisze. Jestto już wieść z drugiej ręki, która uległa wrażeniom indywidualnym piszącego, w jego umysłowości i uczuciu, że tak powiemy, skąpała się. Owszem patrząc na osobistość Starosty taką, jak ją opowiadane zdarzenia malują, a które tenże z pamięci swej jako ważniejsze wydobywa, zadziwia nas owa reflexya bardzo nieprzypadająca do twarzy opowiadacza, który rad był, że brat jego Karol „wytrzepał Poniatowczyków“, a płynąca jakby z myśli piszącego Marszałka. „Do czego to“, mówi Starosta, „dziś doszedł nasz piękny kraj, mający tyle żywiołów potęgi! Oto! ani uważania u obcych, ani wewnątrz bezpieczeństwa nie mamy, a wszystkiego przyczyną duma możnowładców naszych: niechcąc oni ulegać królom swoim, starali się powagę tronu osłabić. Zatruli żywot bohatera wiedeńskiego; Augustowi II gorzki podali kielich do wypicia — może zasłużenie; lecz co gorsza, na sejmie owym, co go przezwali niemym, ojczyźnie resztę sił odjęli, rozprzęgając wojsko narodowe, i zmniejszając je do kilkunastu tysięcy. Dzisiejszy nawet król możeby mniej był gnuśnym, gdyby mu rąk nie związano“ i t. d.

Powtóre, co do treści, sam Starosta i cały orszak, który on na scenę wyprowadza, daleko stoi za księdzem Markiem, Rejtanem, Księciem „panie kochanku“ Leszczycem i t. d. Sąto charaktery. Za grubą i niekształtną powłoką, nieprzypadającą zapewnie do dzisiejszych czasów, widać tam ducha hartownego, wolę silną, grunt serca zacny — złoto i marmur, dla którego czas lichym był sztukmistrzem. — I ta treść duchowa czyni posągowemi postacie Soplicy. Przy nich Starosta Zakrzewski i współdziałacze sceny pamiętnikowej, jak je pamiętnik przedstawia są tylko powszedniemi figurami; dość miernemi, by w rzeczywistości zwrócić na siebie uwagę, a cóż dopiero, aby być jakimś kształtem dla sztuki, choćby nawet w pamiętniku, gdzie o to najmniej chodzi.

Zamykając zdanie nasze o dziełku niniejszem, i nie ujmując mu bynajmniej wartości materyału historycznego, wyznajemy, że szczupłe pod tym względem żniwo dla dziejów z epoki tak ważnej, tak obfitej, naprowadza nas na dwa domysły: albo p. Starosta rzeczywiście nie wglądał z zajęciem zupełnem w zdarzenia swego czasu; albo Marszałek zasławski, spisujący jego opowiadania, widział się w takiem położeniu, że zmuszony był część jakąś pamiętnika zachować na wydanie w późniejszym czasie. Takbyśmy nawet chcieli rozumieć słowa p. wydawcy, wzywające inne osoby, w których ręku, muszą się znajdować rękopisma ś. p. Ciechońskiego do ogłoszenia tychże. —

Rocznice historyczne.

Do najpiekniejszych uroczystości w każdem kółku rodzinnem liczyćby się powinna pamięć ważniejszych zdarzeń w rodzinie. Nie masz zaś droższej dla każdego kółka rodziny nad ową wielką, wspólną rodzinę wszystkich, którą jest naród cały. Każden też ważniejszy wypadek narodowy powinienby uroczystą pamięcią obchodzony być w każdem kółku rodzinnem. Matka powinnaby opowiedzieć, odczytać go swoim dzieciom; ojciec podającą się z niego naukę przypomnieć całemu kółku. Dla ułatwienia tego jednym i drugim będziemy od numeru do numeru wskazywać przypadające na

każdy tydzień zdarzenia znakomitsze, przypominając pokrótce towarzyszące każdemu okoliczności. Rozumie się, że do takich pamiątek historycznych nie mogą należeć same pamiątki szczęśliwe, świetne, radośne. Ściślej owszem niż wspólnie przebyte i rozpamiętywane szczęście, wiążą i ścieśniają rodzinę wspomnienia nieszczęść, zawierające nieraz zbawienną naukę na czasy przyszłe. Podawać więc będziemy obok wspomnień chlubnych i miłych, natrącające się także niekiedy wzmianki o niepowodzeniach i błędach. Co do następstwa czasu pozwolimy sobie przeplatać wydarzenia dawne nowszemi, przenosić się pamięcią i uczuciem z wieku do wieku, upatrując w tem owszem pewien powab rozmaitości, nie uwłaczający bynajmniej pożytkowi moralnemu, jakiby się nastręczyć mógł z każdego wspomnienia pojedyńczego. Przebaczą nam czytelnicy, jeźli bądźto w braku jakiegoś ważniejszego wypadku w pewnym tygodniu, lub też z innej przyczyny uwolnimy się w tym lub owym numerze od obowiązku wspomnienia koniecznie jakiej rocznicy historycznej. Wspomnienia te historyczne będziemy zawsze podawać według najlepszych źródeł.

7. kwietnia 1656 r. Zwycięztwo pod Warką.

Zwycięztwo niniejsze Stefana Czarneckiego przypada na jeden z najsmutniejszyzh okresów dziejów naszych. Niezgoda wewnętrzna, łupieztwa szwedzkich najezdzców i płomienie buntu ukraińskiego rozlały się szerokiemi potokami po całej Polsce. I kiedy nawet Król Jan Kazimierz szukający schronienia za granicą zdołał teraz wrócić do kraju, znalazł skarb i siły narodu wycieńczone i niezdolne do obrony, pomimo najlepszych chęci Polaków. Gdy zaś Karol Gustaw rosrożony powrotem króla i konfederacyą Tyszowiecką z większą niż wprzódy zaciekłością oręż swój na Polskę zwrócił, padła obrona Rzeczypospolitej w znacznej części Stefanowi Czarneckiemu. — W obec przemożnego nieprzyjaciela mając tylko garstkę rycerstwa, nie śmiał Czarnecki narażać jej na żadną stanowczą rozprawę i ograniczał się utarczkami podjazdowemi. Toż nie zaniechał nigdy sposobności utrapienia dumnego wroga. Żaden oddział pojedyńczy nie uszedł zniesienia lub rozbicia, żadnego noclegu nie przepędzili Szwedzi bez nowej straty i przestrachu. Piorunem spadał na nieprzygotowanych, a nadciągające pobitym nieprzyjaciołom posiłki znajdowały go już daleko od pola zwycięzkiej bitwy. A gdy Karol Gustaw znużony tą niezmordowaną czynnością Czarnieckiego stałym obozem okopał się między Wisłą i Sanem oczekując posiłków, Czarniecki nie mogąc mu więcej szkodzić, starał się przynajmniej zniszczyć nadzieję spodziewanej pomocy. Zniósłszy ze szczętem pod Kozienicami półkownika szwedzkiego z 8 chorągwiami, zwrócił sie przeciw Margrabiemu badeńskiemu, wiodącemu posiłki Karolowi Gustawowi. Dnia 7. Kwietnia spotkał go pod Warką.

Margrabia Fryderyk uwiadomiony o nadciągającem wojsku polskiem, zostawił w miasteczku Warce, położonem na lewym brzegu Pilicy, parę hufców przeznaczonych do wzbronienia Polakom przejścia małego mostku na rzece; sam zaś udał się brzegiem dalej za miasto, i rozłożył pod lasem wygodny obóz. Czarniecki nadszedłszy wprost z Kozienic ujrzał się od nieprzyjaciela oddzielonym rzeką. Przejście mostu wzbronione, a fale rzeki wezbrane wiosenną powodzią groziły zniszczeniem zaciekłym śmiałkom. Lecz nie przestraszyły one bohaterskiego wodza, równie jak i wzgardliwe przycinki (natrząsania się) nieprzyjaciół, mniemających się dostatecznie zasłonionemi od natarcia polskiego. Wysłał więc Czarniecki kilka łekkich chorągwi pod wodzą Krzysztofa Wąsowicza, dla zabawienia nieprzyjaciół na moście, a kilku ludzi do upatrzenia brodu. Odebrawszy pożądaną wiadomość, obrócił swą mowę do pozostałego rycerstwa. Przypomniawszy w krótkich słowach dawniejsze czyny męztwa i chwały, wyniosłość wroga, nadzieję ojczyzny w nich położoną, zakończył wezwaniem; „komu nieśmiertelna sława, ocalenie króla i zbawienie ojczyzny jest miłe niech rusza za mną“. Poczem w rysiej szubie zdobycznej i w całym wojennym rynsztunku rzucił się pierwszy w wodę. 3000 towarzystwa usłuchało ochoczo bohaterskiej zachęty, i walcząc z nurtami Pilicy przerznęło się do krwawszego boju z nieprzyjacielem. Mimo uciążliwej przeprawy ciężkich hufców, uszykowały się one na lewym brzegu już w pół godziny od wyrzeczenia słów Czarnieckiego, i z równie nieustraszonem męztwem natarły na nieprzyjaciół, zabawiających się jeszcze ciągle z Wąsowiczem. Zwycięztwo było łatwe ze zdumionem i przestraszonem żołdactwem, i wnet obrócił się Czarniecki na obozujących pod lasem. Niespodziewane ukazanie się strasznego wodza, rozsiało srogi przestrach w kilkakroć liczniejsze szeregi margrabiego. Po krótkim oporze zaczęły się cofać w las, i poszły w zupełną rozsypkę. Tylko mała część zdołała się uratować ucieczką, bo kto uszedł mściwego oręża polskiego lub niewoli, wpadał w zasadzkę chłopstwa po lesie. Sam wódz, starszy margrabia Fryderyk z hrabią Slipenbachem i ministrem króla szwedzkiego Ehrenstajnem ledwie uszli najgęściejszym lasem. Młodszy Margrabia Adolf i wielu generałów prócz 400 żołnierzy, dostali się w niewolę. Po dwógodzinnej walce okryło lewy brzeg Pilicy — według opowiadania uczestniczącego w tej bitwie Paska — kilka tysięcy co najprzedniejszego nieprzyjaciela, a niedawna miękka i falująca droga rycerstwa polskiego, wezbrała trupami i krwią szwedzką. Sławne to zwycięztwo zachwiało przeważnie potęgę dumnego Szweda, i pociągnęło wkrótce za sobą ziszczenie przepowiedni danej mu u grobu Władysława Łokietka w Krakowie.

B. K.

Kronika literacka.

* Przed dwoma laty umarł Józef Paszkowski, pułkownik i literat. Wyrządzilibyśmy krzywdę zmarłemu, gdybyśmy dopiero czytelników naszych z tem imieniem zapoznać chcieli. Podniesiemy tylko kilka szczegółów z jego życia. W takich bowiem pięknych postaciach naszych, okazuje się jasno, zkąd nasza literatura płynie i dokąd zmierza. Piękne i szlachetne uczucia rodzą ją i pielęgnują, a przy takich przykładach mniej nas już boli, jeźli dzisiaj tu i owdzie

święte powołanie pisarza zamienia się w dowolność, a najszlachetniejsze uczucia nasze stają się zdatkową monetą w ręku prostych spekulantów. — Cóż zaprowadziło zmarłego do literatury?

„Opuściłem Litwę w roku 1810, pisze do przyjaciela, mając lat 22, przeszedłem w bród rzekę Bug i po większej części pieszo dostałem się do Warszawy. Ostatnie dwa grosze zapłaciłem za mostowe i zaraz zaciągnąłem się do wojska, abym mógł podjeść z żołnierskiego kociołka. Karyerę wojskową rozpocząłem od prostego żołnierza i byłem nim przez 7 miesięcy, grając w stajni łopatą w billard, pucując konia, myjąc kociołek i skrobiąc kartofle pod pompą, gdy kolej kucharska na mnie przypadła. Honor i chwała były poezyą wojsk księstwa warszawskiego, i dla nich chętnie znoszono wszelkie prywacye. Żyło się jedynie racyą z magazynu, to jest leciutkim rosołem z okrągłym grochem, który ordynans gotował, rzadko kawałkiem mięsa, a prało się koszulę w Wiśle, siedząc póty w wodzie, aż wyschła na brzegu. Nikt na to nie narzekał, owszem chełpiliśmy się z tego“.

A gdy potrzeba było szablę nabok odłożyć, żołnierz napoleoński wziął za pióro, bo zdało mu się, że to jest kontynuacya jego służby dla dobra kraju. Oprócz tego co wydał, zostawił wiele w rękopismach. Przedewszystkiem ciekawi jesteśmy na publikacyą biografii niektórych generałów polskich. Stary żołnierz nie mógł nigdy Boga i kraju odłączyć od usiłowań literackich. To też widząc jak święte słowo, które ma naród ożywiać, staje się w ustach spekulantów artykułem handlu i przemysłu, skarzy się swemu przyjacielowi:

„Żadne uczucie wzniosłe nie ożywia społeczeństwa; nie ma w niem pochopu do chwały, miłości, szlachetności, poświęcenia się; brudny egoizm jest sprężyną wszelkiego działania. Pisarze nie są już kapłanami, lekarzami duszy, ale drażnicielami choroby. Wolą podżegać, bo zato im płacą; słowem, świątynią muz administruje kupiectwo“.

Ostatnie jego publicznie wyrzeczone słowa były: „Kto dla kraju pracuje, Bogu pracuje“. Te słowa posłał mu do grobu pogrzebowy jego mowca ksiądz prałat Ojrzanowski.

Wydanie paryskie dzieł A. Mickiewicza. Według listu nadesłanego do jednego ze współpracowników pisma naszego od Eust. Januszkiewicza zajmuje się tenże obecnie sam wydaniem dzieł A. Mickiewicza. J. Klaczko który dotychczas wchodził w skład redakcyi wydawnictwa wyjechał od połowy Marca do Włoch w celach literackich jako współpracownik jednego z pism warszawskich. W Maju b. r. wyjdą tomy III IV i V polskie i francuskie VII do XI; w Październiku wyjdą II i VI polskie. Tom I zawierający J. Klaczki pogląd na dzieła A. Mickiewicza i listy wyjdzie w r. 1861. Biografii wydanie to mieć nie będzie, takowa zostanie zapewne osobno wydaną osnuta ile się zdaje w części na materyałach drukowanych w Rozmaitościach tutejszych.

— Niedawno donosiła Gazeta Codzienna o archiwie Markiewiczów jednej z najznakomitszych rodzin małoruskich. Zawierają się tam materyały do historyi, etnografii, statystyki i żywota społecznego Małorosyi, do dziejów Polski w ostatnich czasach. Prawie wszystkich hetmanów małorosyjskich, hanów krymskich, hetmanów i panów polskich, królów, urzędników, panujących etc. znajdują się tu autografy. Samych przywilejów oryginalnych jest kilkaset. Cała liczba aktów złożonych w tekach zawiera numerów 6500 a 6000 oryginalnych. Oprócz tego jest 100 tomów rękopismów, a między innemi i z pierwszej połowy XVI wieku. Cenią archiwum to na 5000 rśr. Według listu pisanego przez p. Broel-Platera do A. Bielowskiego stara się znany ten wydawca pamiętników dziejowych o nabycie zbioru Markiewiczów.

— W Pradze wychodzi encyklopedya pod tytułem: „Slovnik naučny“. Ma dotychczas abonentów 3910 w samych Czechach, 526 w Morawie i w Szlązku, 309 między słowianami węgierskiemi, 276 w innych krajach, razem 5021.

— W Bochni wydał drukarz tamtejszy p. Wawrzyniec Pisz własnym nakładem: Zbiór pieśni światowych czyli Majalisowych dla zabawy młodzieży szkolnej ułożony 1860 str. 32 (od str. 25 znajdują się także pieśni w niemieckim języku).

— Skargi Żywotów Świętych wyd. x. K. Maniewskiego wyszło już 9 poszytów w Wiedniu.

— Władysław Nehring wydał część drugą dzieła: O historykach polskich szesnastego wieku. Część ta traktuje: O życiu i pismach Joachima Bielskiego, w Poznaniu 1860 str. 99 w 8ce. Pierwsza część obejmuje podobnąż wiadomość o Reinoldzie Heidensteinie po łacinie, wydana w r. 1856.

— Żupański księgarz w Poznaniu wydał: Pomysły do ostatniego uregulowania kwestyi włościańskiej przez Litwina.

— P. August Mosbach w Wrocławiu przygotował do druku dzieło pod n. Wiadomości do dziejów polskich z archiwum miasta Wrocławia. Rękopism tego dzieła nadesłał poznańskiemu towarzystwu Przyjaciół Nauk z zapytaniem czy Towarzystwo zechce się zająć wydaniem tej pracy oddzielnie lub też w rocznikach swoich. Wydział Tow. Przyj. Nauk polecił trzem swoim członkom przejrzeć ten zbiór dokumentów i zdać o nim sprawę.

— K. Wł. Wojcickiego Historyi literatury polskiej w zarysach wyszedł nakładem G. Sennewalda w Warszawie tom trzeci. Tom czwarty już się drukuje.

— Juliana Bartoszewicza Historja literatury polskiej wyjdzie wkrótce nakładem M. Glücksberga w Warszawie. Dzieło to obejmuje w jednym sporym tomie całe dzieje literatury. Autor czyni nowy podział dziejów na 6 okresów: I. Piastowski czyli okres kronik łacińskich aż po rok 1386; II. Jagielloński czyli okres Długosza; III. Złotego wieku Zygmuntowski czyli okres Reja i Kochanowskiego; IV. panegiryczny, makaroniczny aż do Stanisława Konarskiego; V. stanisławowski nazwany od Stanisława Augusta; VI. Mickiewicza od roku 1821 zacząwszy. Dzieło to ma być pomocą przy wykładach p. J. Bartoszewicza.

— Naszej „Encyklopedyi powszechnej“ wyszło dotąd czternaście zeszytów. Mamy w ręku pierwszy tom tego wielce pożytecznego dzieła od A do Aos, o którym obszerniejszą sprawę zdamy. Na razie zwracamy tylko uwagę naszych czytelników, iż dzieło to zasługuje przynajmniej nie na mniejszą wziętość w naszej ziemi, jak czeska encyklopedya między Czechami.

— *Revue contemporaine*, o której donosiliśmy raz że zamieszcza studya o najznakomitszych poetach naszych (dotychczas były rozprawy o A. Mickiewiczu i Z. Krasińskim, p. Paul de Saint-Vincent), zawiera także ciekawe dwie rozprawy politycznej treści: Horna o kwestyi narodowości w Austryi, i o finansach Austryi. Zapowiada to pismo także studya o współczesnych dziejopisarzach polskich i rosyjskich p. Duchińskiego z Kijowa.

— X. Biskupa Łętowskiego „Opis katedry Krakowskiej“ jest już ukończony; oczekuje tylko na odbicie kilku widoków wykonanych przez znakomitego p. Strooband w Brukselli.

— W krajach zabranych istnieje kilka towarzystw lekarzy Polaków. Towarzystwo podolskie w Kamieńcu pod prezydencyą Aleksandra Kremera, (wiceprezes N. Starcow, sekretarz Karol Przyborowski, bibliotekarz i podskarbi Leon Kowalski) odbywa co roku posiedzenia od 1. do 15. Października i liczy 33 członków. Oprócz tego istnieje w Żytomierzu towarzystwo pod prezydencyą Karola Kaczkowskiego był. gen. sztab. lekarza armii polskiej. W Kijowie właśnie organizuje się podobne towarzystwo.

— *„Kółko“* nasze powiększa się przystąpieniem nowych współpracowników, których prace i imiona wkrótce ogłosimy. Na piękny wiersz p. Fr. Waligórskiego, pod napisem „Do kółka rodzinnego“ i na wezwanie:

....niechże to *„kółko“* gdy zwie się *„rodzinne“*
Dla krewnych też stoi otworem,
Niech każdy w niem znajdzie przyjęcie gościnne — —

odpowiadamy, że najserdeczniej przyjmujemy w nasze grono każdego nowego współpracownika. „*Kółko*“ nasze stoi otworem dla wszystkich, którzy uznając nasze szczere chęci dla dobra narodu, wspólnie z nami pracować pragną. Niechcąc przekraczać granicy skromności, nie dajemy całego pochlebnego dla nas wiersza „do kółka rodzinnego“, nie możemy jednak sobie odmówić przytoczenia zwrotki, która trafia do naszego przekonania:

I jedno ogniwo nas wszystkich zespoli
Miłości, nadziei i wiary;
Bo jedno nas cieszy i jedno nas boli,
I jedne są nasze sztandary. —

Sprostowanie. W Nr. 4. str. 58 przedziałka pierwsza wiersz piąty zamiast *Amutorakańskiego* czytaj *tmutorakańskiego*, str. 59 w przedziałce pierwszej wiersz ostatni zamiast *Zgorowicz* czytaj *Igorowicz*.

Kronika sztuk pięknych.

Do licznych zakładów dobroczynnych, któremi się odznacza Warszawa należy Towarzystwo wsparcia artystów muzycznych. Prezesem tego towarzystwa jest p. Teofil Fukier. Majątek towarzystwa wynosił według obrachunku za rok 1859: 19.287 rubli śr. Emeryturę uzyskali w tym roku dwaj członkowie pp. Wacław Prohaska i Tomasz Głogowski.

— Dzienniki belgijskie mówią z wielkiem uwielbieniem o koncercie Towarzystwa filharmonicznego danym dnia 10. Marca w Brukseli. Do uświetnienia przyczynił się zdaniem dzienników głównie sławny nasz skrzypek Wieniawski.

— Moniuszko wykończa nową operę pod napisem: „Verbum nobile“ do osnowy Chęcińskiego.

— Gazeta Codzienna drukuje w odcinku „Dzieje serca“ komedyę w trzech aktach W. Szymanowskiego, która otrzymała nagrodę konkursową wyznaczoną przez hrabiego E. Starzyńskiego.

— Szczepanowski, gitarzysta, dawał koncert dnia 1. Marca 1860 w Suwałkach. Biernacki i A. Kątski w Żytomierzu.

— Składki na instytut muzyczny w Warszawie coraz obficiej się gromadzą. W Lublinie uroczystość muzyczna bardzo pomyślne wydała rezultaty, w Kijowie zebrano około 3000 rś.

— Donoszą z Warszawy: Widzieliśmy w tych dniach portret w płaskorzeźbie J. Kraszewskiego, wykonany przez Oleszczyńskiego. W utworach tego rodzaju może najtrudniej jest utrafić podobieństwo. Głowa na medalionie bowiem jest półtora razy większą niż w naturze, przezco rysy olbrzymieją i trzeba starannie obrać punkt widzenia, żeby dzieło artysty w całej swojej piękności form wydać się mogło. P. Oleszczyński umiał starannie wywiązać się ztych trudności. Wiadomo, że córki Mickiewicza po obejrzeniu wszystkich portretów i posągów swego ojca twierdziły, że największe podobieństwo tak rysów jak i wyrazu twarzy utrafił p. Oleszczyński. Niemałym to zaszczytem dla artysty, niełatwa bowiem była do odwzorowania *cette face de lion*, jak ją Francuzi nazywali.

— Obywatelstwo Podolskie (gubernii podolskiej) bierze bardzo czynny udział w sprawach krajowych. Szlachta podolska uchwaliła na ostatnich wyborach w r. 1859, by złożyć na fundusz muzycznego zakładu Warszawskiego po 300 rś. z każdego powiatu jako jednorazową wkładkę; po 100 rś. rocznie przeznaczyć dla rzymsko-katolickiego seminarium w Kamieńcu. Marszałkowie powiatowi (z wyjątkiem dwóch) uchwalili po 300 rś. z każdego powiatu na roczną zapomogę dla teatru Kamienieckiego.

Różności.

— W Wilnie istnieje kasyno czyli klub szlachecki, jak go tam nazywają. O tym klubie donoszą, że zdawał publicznie sprawę z obrotu funduszów swoich. Podług tego sprawozdania miał klub w r. 1859 dochodu 8313 rś., w r. 1858: 10.038 rś. U nas podobno kasyno ma więcej dochodu. Główne źródło dochodu stanowi roczna opłata od stałych członków, których na walnem posiedzeniu z końcem roku 1859 było przeszło trzysta.

Tenże klub ma płatnych sekretarzy, których zmienia co roku. Chwalebną jest rzeczą, że klub na same pisma czasowe i gazety wydaje do 500 rubli rocznie. Wprawdzie nie zbiera się w czytelni więcej nad sześć do ośm członków, ale tem chwalebniejsza, że pomimo małej liczby czytających, dużo pism trzymają. Dochód z kart stanowił w roku 1859: 1099 rś. 90 kop.

— Warszawski „Tygodnik ilustrowany“ zamieszcza artykuł bezimienny o fotografiach kolorowych. Autor artykułu zaleca użyć roztworu saletrzanu urana, aby otrzymać kolor czerwony. Zanurzanie papieru w roztwór saletrzanu kobaltu daje kolor zielony. Azotan Uranu sprawia kolor fioletowy—roztwor wodny chlorniku rtęci, niebieski. — Bliższe szczegóły o tej ważnej dla fotografów recepcie można wyczytać w Nr. 23. Tygodnika illustrowanego.

Od redakcyi.

Niektórzy z abonentów naszych nadesłali wraz z prenumeratą na „kółko rodzinne“ także prenumeratę na zapowiedziane właśnie drugie wydanie dzieła K. Szajnochy: **„Jadwiga i Jagiełło“**. Z tego powodn ogłasza redakcya, że ułatwiając abonentom swoim nabycie tak znakomitego dzieła, jak najchętniej prenumeratę na nie przyjmuje. Przy tej sposobności należy nam podnieść, że prawie wszystkie warszawskie pisma ogłosiły gotowość przyjmowania prenumeraty na toż dzieło, a niektóre z nich nawet oświadczyły się, że własnym kosztem, będą takowe swoim abonentom przesyłać. Wdzięczni jesteśmy warszawskim redakcyom za te szlachetne ich uczucia dla autora **„Jadwigi i Jagiełły“**.

Karola Szajnochy opowiadanie historyczne: **„Jadwiga i Jagiełło“** wyjdzie w czterech tomach własnym nakładem autora. Pierwsze wydanie kosztowało 15 złr. m. k. To zaś wydanie na pośledniejszym papierze kosztować będzie 8 złr. w. a., na piękniejszym papierze 10 złr. w. a. Niska cena tego obszernego dzieła, którego samo ogłoszenie w tak rychłej powtórnej edycyi jest najlepszym dowodem jego wartości, ma ten cel, aby ono wejść mogło do każdej polskiej rodziny i dostać się do rąk wszystkich, którzy w przeszłości naszej radzi widzieć obrazy wielkiej, niespożytej potęgi narodowej.

Po zamknięciu przedpłaty nastąpi wyższa cena sklepowa. Dla utrzymania ewidencyi przedpłaty załączony będzie przy każdym tomie imienny spis prenumerantów. Redakcya **„kółka rodzinnego“** poświadczając odebranie prenumeraty na dzieło: **„Jadwiga i Jagiełło“** ogłosi każdego prenumeranta.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z prasy pospiesznej E. Winiarza.